12 613

200

OBRAZY

ZIEM, LUDÓW I OKOLIC.

PODŁUG RÓŻNYCH AUTORÓW OPRACOWAŁ

FR. XAW. TUCZYŃSKI.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773
Wa5167498

W POZNANIU.
CZCIONKAMI I W KOMISIE W. SIMONA.
1879.

Omyłki drukarskie.

Strona	1	*wiérsz*	7	*zamiast*	dzik-	*czytaj:*	dziki.
„	1	„	8	„	gói,	„	gó-
„	1	„	9	„	n-	„	ni
„	4	„	10	„	sobę	„	sobą
„	13	„	34	„	kiéj	„	skiéj
„	—	„	35	„	spary	„	pary
„	32	„	13	„	onym	„	mym
„	—	„	19	„	Nie	„	Niech
„	36	„	26	„	przytém	„	potém
„	—	„	34	„	baszy	„	baszą
„	39	„	6	„	palu	„	pala
„	59	„	1	„	Kra-	„	Ka-
„	—	„	30	„	chciwy	„	chciwie
„	63	„	27	„	odworzą	„	odwożą
„	72	„	19	„	rego	„	(któ)ry go
„	77	„	26	„	odgrażenia	„	odgrażania
„	—	„	28	„	sporu	„	oporu
„	78	„	27	„	lora	„	lord
„	—	„	31	„	brażeni	„	wyobrażenie
„	81	„	30	„	Sidok	„	Sikok
„	—	„	—	„	Kinsin	„	Kiusiu
„	96	„	23	„	tegn	„	tego
„	101	„	25	„	lud	„	lód
„	102	„	1	„	opadły	„	opadały
„	—	„	25	„	brzegu	„	brzegowi
„	110	„	18	po wyrazie mokasynu, dodać: prawéj nogi			
„	111	„	8	zamiast chiałem czytaj: chciałem			
„	112	„	19	„	spotaci,	„	postaci.

Pol. Tow. Geograficzne w W. Wiedniu BIBLIOTEKA CENTRALNA
NH-67867 N-2515399(1)/TMK
NH-67756(3) N-3895844/TMK 12613 (1)
NH-67755(2) N-4749555/TMK

Zorza północna.

Nie będę skréślał dziejów mojéj podróży, na inny czas to zostawiam; teraz ograniczę się przytoczeniem jednego z niéj epizodu. Silne on wywarł wrażenie na mojim umyśle, a sądzę, że i dla innych obojętnym nie będzie. Wylądowaliśmy na brzegi Grenlandyi. Na przekór zapewne prawdzie dali jéj nazwisko *) Irland czykowie; gdzież się nazwie *zielonym* kraj pusty, dzikodwiecznym śniegiem pokryty, najeżony skalistemi gói, rami, między któremi ni jedna roślina nie wzrosła, nijeden krzew nie wywinął zielonych liści pod blade, wiecznie mgliste niebiosa. Prawda, że południowo-zachodnia część Grenlandyi jaką taką wydaje roślinność, lecz część wschodnia, którą zwiedziłem, jest zupełnie martwą.

Pare dni oczekując na zmianę wiatru strawiliśmy w téj krainie: jednostajność widoków i wrażeń zaczęła

---

*) Grenlandya znaczy tyle co zielona ziemia. Podróżni nadali jéj w dawnych czasach tę nazwę w przeciwstawieniu do otaczających tę krainę białych lodowców. Dawniéj jednakże Grenlandya nie przedstawiała takiéj dzikiéj i nagiéj pustyni jak teraz, ale była zamiészkaną, a nawet miała jedno biskupstwo. Ostatni biskup jednakże dla lodów nie mógł już dopłynąć do miejsca swego przeznaczenia.

dokuczać, prosiłem zatém pana Van-der-Sloop, Holendra, właściciela statku, aby pozwolił na wycieczkę ku drobnym skalistym wysepkom, które na skraju widnokręgu roztoczone półkolem nasuwały się oku.

— I owszem — odparł Holender — a tém chętniéj zgodzę się na życzenia pana, że sam miałem posłać wyprawę; chciałbym się dowiedziéć, czy między temi wyspami nie ma gdzie dogodnéj przystani, a nadewszystko, czy się nie trafi na wieloryba lub opałowe drzewo zarzucone falami.

W kilka minut łódź była gotowa, a w trzy godziny późniéj dopłynąłem do wysp.

Wyspy smutniejszy jeszcze od stałego lądu przedstawiały widok; były to masy skamieniałéj lawy, czarne, dzikie, ponure; niewarto było ich zwiedzać i już miałem dać rozkaz powrotu, gdy jeden z majtków, stary wilk morski, jak nazywają Anglicy, odezwał się do mnie: Jeśli pan chcesz poznać ocean lodów, przepłyńmy oto ten wązki przesmyk, a za parę godzin tam będziemy; znam bowiem to miejsce; przed dziesięciu laty zapędzony burzą zwiedziłem je.

— Ocean? — rzekłem, — wszakże od dwóch miesięcy znajdujemy się na nim!

— Prawda, lecz pływaliśmy po jego zachodniéj części, a ta podobna do innych mórz świata; wschodnia całkiém różna, a zaczyna się właśnie od tych wysp; warto zobaczyć choć dla ciekawości.

Zgodziłem się na to chętnie. Wycieczka krócéj trwała niż wzmiankował żeglarz; wiatr sprzyjał, przesmyk był prędko przebyty; wypłynęliśmy z pomiędzy wysp na pełny ocean i wykrzyk podziwu, radości, zachwycenia wydobył się z mojich piersi.

Majtek miał słuszność, istotnie morza lodów nie znałem jeszcze; teraz ono w całym blasku rozpostarło się przed oczyma.

A jakże opisać wrażenie, jakiém byłem przejęty, jak skréślić obraz, który miałem przed sobą? Wyo-

brażcie sobie przestrzeń okiem niezmierzoną, zabudowaną, że się tak wyrażę, lodami w taflach jasnych jak zwiérciadło, czystych jak kropla rosy. Lecz te lody nie były to bezkształtne bryły, nieforemne złomy kry rzék naszych; nie były bezduszne masy ściętéj mrozem wody; były to całe miasta, góry, skały, świątynie, tryumfalne łuki, pagody, minarety, obeliski i pałace.

Te zaś pałace, świątynie, te wszystkie góry, skały i miasta były z czystego kryształu, osiane złotem, purpurą, drogiemi kamieniami, wszystkich barw, blasku słońca a olbrzymiego rozmiaru. Gra światła sprawiła to złudzenie; zachodzącego słońca krwawo-złote promienie, błąkając się między niemi obsypywały je wszystkiemi kolorami tęczy, przystrajały w rubiny, szafiry, dyamenty, topazy. Co wspomniałem o kształtach lodów, nie jest przesadą; dziwna igraszka przyrody nadała im postacie znajome, nie trzeba było nawet silnéj wyobraźni, aby je rozróżnić, oznaczyć. Zachwycony uroczym widokiem chciałem go uwiecznić dla siebie i wydobywszy ołówek skréśliłem ile możność pozwalała otaczające przedmioty, gdy tymcazsem z pięciu majtków, z którymi przybyłem, trzech udało się na wyspę, do któréj dobiliśmy; nazbiérali nieco drzewa i roznieciwszy ogień rozkoszowali się jego ciepłem dawno już upragnioném. Tak czas biegł, o powrocie na statek ani myśléć; słońce zaszło, mgła zapadła, trzeba było czekać do rana. Poddałem się bez szémrania przeznaczeniu, gdy oto nagle mimowolny okrzyk wyrwał się z piersi, nowy cud przed memi oczyma.

Zorza północna, to niepojęte - niewysłowionéj piękności zjawisko, dopełniła zachwycenia, w jakiém od ujrzenia oceanu lodów zostawałem ciągle.

Miészkańcy cieplejszych stron Europy, nie mamy istotnego pojęcia o piękności zorzy północnéj; aby poznać i ocenić, trzeba ją widzieć w jéj ojczyźnie, w jéj przyrodzonéj dziedzinie, na ostatnim krańcu lądu, pod

biegunem polarnym; tam ona błyszczy w całéj gloryi, tam w całym blasku jaśnieje.

Jeśli nie mógłem opisać piękności morza lodów, czy się mogę ośmielić, skréślić choć jeden z najwspanialszych fenomenów przyrody? Moje pióro za słabe do tego, ale téż mniemam, że największy gieniusz nie wydołałby przedmiotowi, że pędzel najbieglejszego malarza setnéj części jego uroku nie zdołałby pochwycić. Ograniczę się tedy na prostém opowiadaniu cudu, który miałem przed sobę.

Zorza północna rozpoczęła się około ósméj wieczorem mdłym różowym blaskiem, którym połowę horyzontu zajęła.

Ta różowa powłoka coraz wzmagała się w barwie, tak, że już w kwadrans zmieniła się w purpurową, i do ostatnich kończyn zalała horyzont.

Purpura niedługo została bez zmiany, zaczęły po niéj przebiegać rozpoczynając od północy słoneczne kule, lecz dziesięć razy przynajmniéj większe i więcéj iskrzyste od prawdziwych. Kule te w miarę lotu pryskały, rozsypując milijony gwiazd, z których każda znowu rozpryskiwała się na milijony innych, tak, że całe niebo niemi pokryte było. Ich zaś trzask wyraźnie chwytałeś uchem; był to szmér odległych rakiet, szmér, jaki sprawia paląca się siarka. Nie sposób wyrazić piękności tego widoku, tych migocących świateł na tle purpurowém; fenomen zaś trwał znowu kwadrans. Po upływie tego czasu, nagle, niby różczką Morgany dotknięta, purpura znikła z horyzontu, zastąpiło ją światło nieokréślonéj barwy, jasno-złote, przerznięte kilku wstęgami srébrnemi. Te wstęgi widocznie szérzyły się nabiérając niejako kolumnowéj grubości, a w miarę wzrostu migotały po nich cudnéj piękności iskry wszystkich barw tęczy, wszystkich odcieni pryzmatu. Zwiększały się w liczbie tak, że w kilkanaście minut owe wstęgi wydawały się oku niby rzéki roztopionego srébra, niosące na swych falach miliardy

różnéj wielkości i farby drogich kamieni. Lecz właśnie, gdy najwięcéj niemi rozkoszowało się oko, nagła znowu nastąpiła zmiana; cudowne rzéki zniknęły, a złocista powłoka zapełniająca horyzont, zbiła się w jeden széroki kłąb od północy tak, że połowa niebios wrzała, iskrzyła się, płomieniała niby pożarem drogiego metalu; druga została w ciemności, która była tak czarną, jak sobie tylko wyobrazić można..... czarniejszą od węgla. Odcień tych dwóch sprzeczności niepojęte wrażenie wywiérał na umysł; był to blask niebios, wiara obok ponurych ciemności piekieł. Po ognisku zaś, o którém wzmiankuję, wkrótce zaczęły przelatywać w prostych liniach lecz w gwiazdę, niby z jednego punktu wyrzucane strumyki barw modréj, różowéj i zielonéj; wiele zabiegało aż na drugą ciemną stronę horyzontu, rysując jego czarne tło w największéj harmoniji blasku i uroku. Ta gra przyrody najdłużéj, bo pół godziny trwała, ogniste koło wtedy zawrzało, rozszérzyło się, rozlało się złotem i purpurą, a wreszcie wzbiło się w szérokie słupy, które niby na skrzydłach wiatru niesione, niby siłą wulkanu miotane, z niewyrażoną hyżością rozstrzélały się po hyrozoncie. Te to słupy znamy jako zorzę północną, po nich sądzimy o niéj, łatwo pojąć jak niedokładnie. Zjawisko trwało kilka godzin, a ciągle w równie zajmujących postaciach jak były te, które starałem się opisać.

Walka z białemi niedźwiedziami.

W czasie méj podróży ku biegunowi północnemu przybyłem po piérwszy raz do Grenlandyi. Tu, gdym kilka dni spokojnie musiał oczekiwać na okręcie, ponieważ do lądu dotrzéć dla lodów było niepodobieństwem, prosiłem kapitana, abym mógł towarzyszyć łodzi, która miała wyszukać przejścia pomiędzy skalistemi wysepkami.

Na łodzi było nas tylko pięciu. Odpłynąwszy od statku zaczęli moi towarzysze pomrukiwać coś o niebezpieczeństwie, ale ja śmiałem się z tego, sądziłem bowiem, że tu w tych stronach prócz mrozu człowiek innego nieprzyjaciela nie ma.

Omyliłem się wielce; zapomniałem o jednym, groźniejszym od lwów Afrykańskiéj Sahary, od grzechotników Brazylijskich lasów, lub tygrysów Indyjskich; zapomniałem o białych niedźwiedziach. W odległości 30 do 40 sążni od łodzi, ujrzałem sześciu płynących wprost ku nam; ich olbrzymie cielska, długiemi kudłami pokryte, ogromne głowy i paszczęki w pół rozwarte, dzwoniące ostremi, białemi jak kość słoniowa zębami; ich języki purpurowe i oczy małe, ale błyszczące, niby pochodnie, zwiastowały nam okropną śmierć. Tysiące strasznych legend marynarzy w jednéj chwili opanowały mój umysł. Rzeczywiście, walka z białemi niedźwiedziami jest śmiertelną; nie ma zwierza na ziemi, z wyjątkiem słonia, silniejszego, bardziéj chciwego krwi ludzkiéj, jak niedźwiédź mórz lodowatych!

Pojąłem cały ogrom niebezpieczeństwa, widziałem zarazem i niemoc własną; palnéj broni nie mieliśmy przy sobie, a oskardy i dzidy, w które uzbrojeni byliśmy, dadzą dostateczną obronę? Trzech nas stawało do boju: ja, niewprawny do podobnéj walki, Francuz, (ośmnastoletni młodzieniec) i Tom, Irlandczyk, a niedźwiedzi było sześciu, a trzech jeszcze na złomie lodu w odległości stu sążni dojrzało oko.

Dwaj nasi towarzysze, stary majtek i jego towarzysz, oddalili się, jak wspomniałem, na wyspę; dosłyszéć naszych wykrzyków nie mogli, a choćby i dosłyszeli, mogliż dopomódz? Chęć ocalenia życia, blizkie niebezpieczeństwo skłoniło do rozpacznego postępku; chciałem wyskoczyć z łodzi, uciéc na skałę; szczęściem zatrzymał mię silną prawicą Irlandczyk. Dla Boga, zawołał, nie czyń pan tego, pójdą za tobą, łatwo dogonią i zginiesz; ot lepiéj weź tę dzidę i brońmy się;

w Bogu i świętym Patryku ufność! Spojrzałem z podziwieniem na mówiącego. Okropne niebezpieczeństwo, które nam groziło, wróciło mu od razu straconą energią ducha. Stał uzbrojony oskardem, zbudził Francuza. Straszne potwory dopłynęły do statku. Nastąpiła walka zacięta, uporna, krwawa; samo jéj wspomnienie dziś jeszcze dreszczem mnie przejmuje. Wspomniałem, iż niedźwiedzi było sześciu; połowa dostateczną byłaby na naszę zgubę, bo siłę oskardów udaremniały gęste kudły potworów, a żelazo mojéj dzidy wkrótce stępiło się o twarde, jak stal kości ich czerepów.

Zgłodniałe bestyje darły się z każdéj strony na łódź, swym ciężarem przechyliły ją i napełniły wodą. Wkrótce mieliśmy jéj do kolan; podwójne tedy niebezpieczeństwo groziło: zatopienie i kły potworów. Walczyliśmy jednak zacięcie, rozpaczliwie; silne razy odtrącały napastników od łódki. Tom szczególniéj odznaczał się; żaden cios jego oskardu nie był daremny; gruchotał łapy, czaszki i z nadludzką siłą walcząc, oblewał krwią zajadłe zwiérzęta. Co do mnie, popchnięty na pałub łodzi, zaciętą utarczkę wiódłem z jednym z potworów, rażąc napastnika ciężką dzidą, gdy nagły wykrzyk trwogi i bólu zwrócił mą uwagę. Francuz czy, że stracił przytomność umysłu, czy téż przypadkiem wypuścił z ręku oskard, a zwiérz, z którym walczył, jedném uderzeniem ciężkiéj i ostremi pazurami uzbrojonéj łapy, zdarszy odzież z nieszczęśliwego i do krwi skaleczywszy, obalił na łódź. Niebezpieczeństwo było większe niż kiedykolwiek, straszna śmierć bliższą, dziki potwór wdarł się na statek, który ciężar jego cielska do połowy pogrążył falami Oceanu. Trzeba im łupu, trzeba nasycić krwią, wykrzyknął Tom, inaczéj wszyscy zgubieni jesteśmy! Zwrócił się do mnie. Na Boga! trzymaj się pan dobrze, inaczéj śmierć! Nie pojmowałem, co przez to chciał powiedzieć. Z szybkością błyskawicy rzucił się na potwór, ale już nie z oskardem, lecz z długim nożem, przeznaczonym

do odziérania skóry wielorybów; pogrążył cały w krwawéj paszczęce niedźwiedzia. Potwór raniony, jęk wydał głuchy i straszliwy, zaszamotał się, potoczył z łodzi, lecz ostatnim może śmiertelnym wysileniem, ostremi kłami zająwszy nóż pochwycił i rękę nieszczęśliwego i pociągnął za sobą w otchłanie oceanu. Byłto wypadek jednéj chwili; dwa zarazem rozległy się wykrzyki: mój i nieszczęśliwego Toma. Gdym nieco przyszedł do siebie z okropnego wrażenia, potworów nie widziałem już przy łodzi, tylko w odległości kilkusążniowéj fale rumieniły się, niby rozlaną krwią i wstrząsały jakby poruszane podwodną walką. Poświęcenie się nieszczęśliwego Toma ocaliło mnie i Francuza. Marynarze jednomyślnie upewniali, że białe niedźwiedzie, podobnie jak nasze wilki, opuszczą najpewniejszą zdobycz, jeżeli głód swój choć jedną ofiarą zaspokoić mogą.

Islandya i Gajzer.

Islandyją odkrył po piérwszy raz norwegski żeglarz *Nadoddur*, roku 867 po nar. Chr. i nazwał ją *Snjoland*, czyli krainą śniegów. Nazwa ta jednakże się nie utrzymała, gdyż odkrycie owo poszło z czasem w zapomnienie. Dopiéro kiedy *Floki* odkrył ją po raz drugi, dostała owa wyspa nazwisko *Island* czyli kraina lodów.

W saméj rzeczy cała wyspa smutny przedstawia widok nagich skał i gór wiecznemi pokrytych lodami. Życie tam martwe, ponieważ Islandya dotyka północnemi przylądkami koła biegunowego. Nie znajdziesz tam ani okolic lesistych, ani drzéw ze soczystemi owocami, tylko tu i tam krzewinę karłowatą i mech islandzki.

Ponad wybrzeżami są rozrzucone osady Islandczyków. Jest to zwykle parę nędznych chat rybackich, zbudowanych z lawy i pokrytych darnią, a obsypanych ziemią. Drewniane budynki są tam bardzo kosztowne, gdyż bu-

dulec trzeba sprowadzać aż z za morza; dla tego drzewa używają tylko do budowania kościołów.

Główném miastem w Islandyi jest *Reikjawik*. Miasto ono jednakże nie jest naszym miastom podobne, tylko zbiorem miészkań rybaków, i tylko tu lub owdzie widać porządniejszy drewniany dom jakiego kupca.

Powietrze na Islandyi już dla saméj blizkości bieguna północnego jest zimném. Zimno owo nie zawsze jest równém. Ognie podziemne łagodzą cokolwiek klimat, ale gdy lodowce i kry na morzu otoczą wyspę, natenczas straszliwe panują zimna, i to tak długo, dopóki owe lody się nie roztopią lub na inny sposób wyspy nie opuszczą.

Zatrudnienia tamecznych miészkańców stanowią mianowicie rybołóstwo i hodowanie bydła. Bydło téż i ryby stanowią ich główne pożywienie, a resztę, czego człowiek potrzebuje, muszą kupować z okrętów, które im owe przedmioty dowożą. Jednakże mało tylko ludzi może z dowozu korzystać, gdyż nie wiele znajduje się familii zamożnych zwykle są to tylko sami ubodzy rybacy. Jak z bydła mają pożywienie, tak i z niego mają swą odzież, składającą się z wyprawnych skór, bądź to bydlęcych, bądź to ze skóry fok i rob.

Islandya pod lodami i śniegami wre i kipi podziemnemi ogniami. Zdaje się, że cała wyspa nie jest niczém więcéj, jak podziemnym kotłem, pełnym roztopionéj lawy. Lubo dzisiaj dwa tylko wulkany, Hekla i Krabla, goreją i płomieniami czasem buchają, to jednakże od czasów, kiedy Europa zainteresowała się tą wyspą, a więc od dziesięciu wieków, wrzało 27 wulkanów, które 85 straszliwemi wybuchami zniszczyło całą wyspę i zalało ją lawą. Tu ze wszystkich okolic na ziemi w najbliższéj zostają ze sobą styczności dwa przeciwieństwa: gorąco i zimno. Tuż przy samym kraterze, ziejącym ogniem, połyskują lodowe dyamentowym odblaskiem kryształy.

Najważniejszém zjawiskiem na Islandyji jest *Gajzer*.

Już z daleka widzi wędrowiec kolumny i słupy białawéj albo szarawéj pary; jedne wzbijają się prostopadle w górę, inne wiją się po ziemi, a inne, pędzone wiatrami, najdziwaczniejsze przybiérają formy i postacie. Jadąc konno pomiędzy nagiemi skałami na północny zachód od Reikjawiku, napotykamy na najwspanialszy wodotrysk, jaki tylko w świecie istnieje, to jest na *Wielki Gajzer*.

Gajzer jest źródłem gorącém, fontanną, wodotryskiem naturalnym. Wytryska ono z krzemionkowego stóżka, mającego na 190 stóp średnicy. W tym stóżku znajduje się basen, utworzony w zaklęsłym wiérzchołku. W środku tego basenu jest prostopadła, całkiem okrągła rura czyli studnia, głęboka na 40 łokci, a mająca 37 łokci średnicy. Tak ściana studni jak i dno całego basenu zbudowane są z gładkiego krzemionkowego osadu, tak twardego, że go młotkiem odłupać nie można.

Basen ów jest zwykle napełniony wodą, podobną do wody morskiéj koloru niebiesko-zielonego. Woda ta jest tak przezroczystą jak kryształ, i można przez nię całe wnętrze basenu widziéć dokładnie. Wypływa ona z basenu trzema stokami. Temperatura jéj na powiérzchni wynosi od 76^0 do 85^0 ciepła.

Przed wybuchem zaczyna się gorąco wzmagać od spodu; od dna basenu zaczynają się wznosić do góry pęcherzyki i bąble, które wyszedszy na powiérzchnią parują. W przejrzystéj głębi studni zaczynają się ukazywać najprzód białawe obłoczki pary, które gdy do wyższych warstw zimniejszéj wody dochodzą, znikają; ale po nich wzbija się coraz ich więcéj i coraz gęściejszych, które stopniowo coraz wyżéj w górę się wznoszą, aż wreszcie dosięgają aż do basenu. Natenczas woda poczyna wrzéć, gotowac i kotłować się, wreszcie wzdyma się i wzbija w górę słup pary.

Podczas kiedy woda się pieni i burzy, słychać raz po raz w głębi ziemi grzmot podobny do grzmotów po-

przedzających wybuch wulkanów, lubo nie tak okropny. Czasem za kilka sekund wszystko wraca do zupełnego spokoju, ale nie długo potém z tém większą siłą rozpoczynają się podziemne grzmoty i kipienie wody, która wzdyma się w basenie wypukło. Natenczas na wypukłéj powiérzchni wody ukazują się bąble, które pękając, trworzą wodotryski waru na kilkanaście łokci wysoko w górę. Teraz téż wydobywają się z wody wielkie obłoki pary, która przy spokojném powietrzu prostopadle wznosi się w górę, podczas wiatru zaś zalega znaczne obszary na około.

Takie silne zamięszenia we wodzie powtarzają się w pewnych przestankach; i tak najprzód w czasie aż do godziny, potém do czterdziestu minut, dwudziestu minut, — aż wreszcie w bardzo krótkich przestankach ze zwiększoną woda kotłuje siłą. Zakłócenie to trwa zwykle przez 24 do 30 godzin, a potém następuje wielki wybuch, który zwykłe silniejsze podziemne grzmoty i trzęsienia ziemi zapowiadają.

Z kłębiącéj się i wirującéj wody z basenu strzela nagle ze szybkością błyskawicy promień wody 60 do 90 stóp wysoko w górę i rozpryskuje się z powietrza na olśniéwający pył brylantowy. Nim jeszcze ten deszcz brylantów spadnie na ziemię, wzbija się już drugi i trzeci, jeszcze wyższy pęk promieni wody, z których jedne tryskają na boki w mniejszych łukach, inne strzelają prosto w górę roztrzęsionemi snopami i sypią dokoła gradem pereł wodnych, sycząc i szumiąc, jak rakiety w stucznych ogniach. Chmury pary przewalają się jedne przez drugie i zasłaniają w części tę cudowną grę wód. Jeszcze jedno uderzenie, jeszcze jeden przygłuszony grzmot z głębi ziemi i jeszcze jeden promień śpiczasty, wszystkie inne przewyższający, wznoszący się często na 190 stóp wysoko, a lśniący się, mieniący jak lity słup z kryształu, z którym wylatują czasem nawet kamienie, jak kule z armaty — i całe zjawisko, które zaledwo kilka minut trwało zapada się

w ziemię, jak urocze widzenie senne. Nim jeszcze wiatr rozpędzi osłaniające stożek tumany pary i nim spłynie woda wrząca po jego bokach, jest już basen *Gajzera* zupełnie próżny i suchy, a dno jego zamiast wody, zasypują tylko ziarnka nacieku krzemionkowego; w studni zaś do głębi prowadzącéj, która przed chwilą grzmiała taką burzą połyskuje na sześć stóp głęboko od brzegu zwierciadło wody tak spokojne i gładkie, jak gdyby nic nigdy nie zaszło. —

Tak znowu woda pozostaje w spokoju i dopiéro po upływie godziny, a czasem nawet o wiele późniéj poczyna się woda wznosić, ukazują się owe charakterystyczne bąble i pary, grzmot i trzęsienia, a po upływie doby następuje nowy wybuch zupełnie tak samo jak piérwszy.

Wybuchy jednakże *Wielkiego Gajzera* nie są tak regularne, żeby zawsze po upływie dwudziestu cztérech godzin następowały. Naturaliści Zirkel i Prayer, przybywszy do niego w kilka godzin po upływie, czekali dwa dni, a wybuch nowy się nie pokazał; dla tego znudzeni odeszli od niego, gdyż lubo grzmoty i trzęsienia ustawicznie ich łudziły, wyrzucenie wody jednak nie następowało.

Ponieważ Islandya posiada mnóztwo takich samych *Gajzerów*, czyli źródeł wrzących, przeto wzmiankowani podróżni udali się do innego, nazwiskiem *Strokkur* (maślnica), leżącego od *Wielkiego Gajzera* o 100 kroków na południe, a który jest po nim największym wodotryskiem.

Woda Strokkura nie ma żadnego odpływu, a zamiast basenu ma tylko obszerny léjek. W tym léjku ustawicznie woda wre, kłębi się i przewala.

Islandczyk, miészkający tuż obok gajzerów, który w biédnéj swojéj chacie gościł już cudzoziemców, przybywających ze wszystkich części świata na oglądanie cudownych wodotrysków, zapewniał obu podróżników, że Strokkur już od kilku tygodni nie wybucha wcale. Nie zrażeni tém jednakże podróżni, chcieli się przeko-

nać, czy prawda że gajzera tego przez zatkanie spodniéj części jego studni kamieniami i ziemią, zmusić można do wybuchu, o czém jedni zapewniają, a czemu drudzy wręcz zaprzeczają. Wziąwszy się do dzieła w cztérnaście rąk, wrzucali w paszczę gajzera przez półgodziny płyty i bryły krzemionki i wielkie kawały darni, ale nadaremnie; uparty Strokkur ani drgnął i zwierciadło wody w studni jego nie podniosło się ani o ćwierć cala. Byli już pewni, że nie doczekają się niczego i poczęli oglądać inne krynice, gdy wtém usłyszeli grzmot, a zwróciwszy się ujrzeli, jak Strokkur wyrzucał z głośnym szumem spowite w pary, na 80 do 90 stóp wysokie słupy wody, która od rozgotowanéj ziemi i darni miała barwę czekoladową. Z promieniami wody wylatywały w powietrze i nawrzucane w studnią kamienie, a niektóre z nich ciskał rozigrany gajzer tak prostopadle w górę, że wpadały napowrót w jego paszczę i napowrót z niéj wylatywały, jak piłki zręcznie rzucane i chwytane. Po sześciu minutach zapadł się ostatni wytrysk, a gdy się zachwyceni zjawiskiem podróżni zbliżyli do studni, stało w niéj zwierciadło wody głębiéj niż przed wybuchem, kłębiąc się gwałtownie, jak zawsze.

Gdy czasem koń, krowa lub owca wpadnie do studni Stokkura, wyrzuca on je po niejakim czasie najzupełniéj rozgotowane.

Nazajutrz ucieszył Strokkur podróżnych dobrowolnym wybuchem, wynagradzając ich tym sposobem za nieuprzejmość swojego sąsiada Wielkiego Gajzera. Wybuch ten dobrowolny był o wiele świetniejszym od przymusowego. Poprzedzony podziemnym grzmotem, wzbił się szybko jak błyskawica słup wody na 10 stóp gruby i rozszerzając się w górze, jak korona sosny włokiéj, rozbił się w drobny pył i rozpłynął w chmurze spary. Po chwili opadła woda do połowy wysokości piérwszego wytrysku, ale w oka mgnieniu podniosła się z głośnym rykiem jeszcze wyżéj, bo do 140 stóp, dzie-

ląc się na niezliczone mniejsze promienie boczne, które rozpryskiwały się w tumanach pary i spadały gęstym deszczem na ziemię. Po piętnastu minutach zjawisko znikło. „Spoglądaliśmy zdumieni i zachwyceni na to cudowne zjawisko — powiada Zirkel; — wybuchy gajzerów próbowało wielu opisywać, ale żadne najwymowniejsze usta nie są w możności dania pojęcia o ich wspaniałości“. —

Nie tylko Islandya, ale i wiele innych okolic świata posiada gajzery, mianowicie północna Ameryka i Nowa Zelandya. Znajdują się one tam gdzie podziemne ognie wysoko dochodzą ku powiérzchni ziemi. Pod powiérzchnią znajdują się głęboko zbiorowiska wód, które ustawiczne ogrzewane, wznoszą się otworami aż na powiérzchnią. Że jednak nacisk wody z góry oraz i nacisk atmosfery jest bardzo silnym, a zarazem oziębienie wyższych warstw wody w studni jest znaczne, przeto parowanie nastąpić nie może. Gdy jednak woda wewnątrz dochodzi do bardzo wysokiéj temperatury, natenczas i pod strasznym naciskiem kolumny wody i powietrza zamienić się musi wewnątrz w parę i siłą pary w kotle wyrzuca ciężar ją naciskający.

Zatém wybuchy gajzerów przyrównać można do machiny parowéj. Wyrzucona parą woda oziębia się w powietrzu wpada napowrót do studni, ochładza tamże znajdującą się parę, która na chwilę zostaje w spoczynku, aż znów w kilku sekundach odzyskawszy swą sprężystość, znowu wyrzuca słup wody — i to trwa tak długo, póki się podziemna para całkiem nie oziębi. Wtedy woda opada, uspakaja się, aby znów rozpocząć proces ogrzewania się ną nowo.

Wżuga rosyjska.

Zima trwająca u nas aż do uprzykszenia długo, nim daléj ku północy, tém więcéj daje się we znaki. Jedna-

kże nie objawia się ona w całéj swéj surowości ani w Angliji, ani téż Szwecyji i Norwegiji, ponieważ blizkość morza tam tamuje o tyle powietrze, że czasami u nas o wiele zimniéj aniżeli w tych krajach. Rosya zaś, stykająca się bezpośrednio z Lodowatém Morzem, gdzie żaden cieplejszy prąd morski dostać się nie może, ma na saméj północy osiem miesięcy ciężkiéj zimy. Podczas téj zimy bywają tam częstokroć takie zawieruchy, o których my nawet wyobrażenia miéć nie możemy.

Biada podróżnemu, którego zawieja taka na drodze napotka. Nasze burze z grzmotami i piorunami nic nam nie szkodzą, a tymczasem zawierucha taka śniegiem zasypie i mróz całe ciało w bryłę lodowatą zamieni.

Na lekkich saneczkach pędzisz przez ogromne pustynie śniegu. Nigdzie ani śladu miészkania ludzkiego, ani śladu stóp ludzkich, tylko tu i tam trop lisa, a z głębi lasów rozlega się wycie zgłodniałych wilków. Ujechałeś dobre trzysta wiorst*), a jeszcze ani znaku, ani miejsca, gdziebyś zmrożone ciało twoje mógł ogrzać i schronić się przed wiatrem, przejmującym się aż do samego szpiku.

Wreszcie coś w oddali majaczeje — jakieś ciemne plamy w śnieżnéj pomroce: to wioska. Konie poczuły już miészkanie ludzkie, parskają i w raźnych podskokach szybko dążą ku owéj wiosce. Wioska już nie daleko — rozeznać można już chaty, a nawet jeden dom wyższy nad drugie i murowany — to dwór; reszta są chaty, nędzne lepianki, a pokryte słomą i gałęziami, a teraz grubo śniegiem posypane. Zbliżasz się coraz więcéj — lecz zadnego śladu życia — sądzisz, że zbliżasz się do wioski, z któréj niedawno wyszła morowa zaraza. Ale tu oto ślady zapewne psów... gdzie

---

*) Wiorsta — miara odległości w Rosyi; siedm wiorst wynosi milę drogi.

tam! to trop wilków, która nocami krąży około wioski w około wioski szukając zdobyczy.

Przybędziesz do wioski i schronisz się do piérwszéj lepszéj chaty, gdyż na dworze coraz ciemnieje, wiatr świszcze i rzuca tumanami śniegu. Szczęście twoje, że jesteś pod dachem, gdyż zbliża się owa strasliwa *zawieja*. Jest ona tak straszliwą, że podczas jéj szalenia nic Rosyanina nie zmusi do opuszczenia swéj chaty, ani zysk, ani żadna korzyść, ani nawet ukaz samego cara.

Kto chce sobie chociaż w przybliżeniu wyobrazić ową ruską zawieję, ten niech naprzód wystawi sobie około 30 stóp zimna według Reamura. Samo to zimno byłoby zawsze do zniesienia, ale trzeba sobie wystawić, że natenczas powstaje wicher, który wzmacniając to zimno w dwójnasób, ze szaloną hyżością pędzi najprzód, jak gdyby nie chciał na ziemi ani jednego tchu pozostawić. To wiatrem pędzone zimno jest tak straszliwe, że nic mu się oprzéć nie może; kto się wychyli ze swego schronienia, ten może być pewnym, że albo wcale nie wróci, albo przynajmniéj z odmrożonemi członkami.

Rosyanin tameczny jednakże nie wiele sobie co z tego robi, gdyż póki jeszcze na dworze widno, dopóki słońce przez obłoki śnieżne cokolwiek światła na ziemię posyła, dopóty zowié on takie zamięszanie w naturze wyrazem *burza*, co u niego tyle znaczy jak u nas śnieżyca. Niedługo jednakże daje na siebie czekać owa zawieja którą Rosyanin nazywa *wżuga*. Wkrótce robi się ciemno — słońce zdaje się znikać z firmamentu; tylko jakieś bure, czerwonawe światło jednostajnie napełnia atmosferę, a cały przestwór zamiast śniegiem, napełnia się śpiczastemi lodowemi igiełkami, pędzonemi szalonym wichrem. Strach przejmuje teraz każdego. Na domiar złego poczyna wiatr wyprawiać djabelskie harce — tumany śniegu kręcą się i wiercą i wzbijają pod niebiosa, a ciemność całkowita nastaje.

Podróżny w czasie takiéj zawieji ginie bez ratunku; zimno przejmie go na wskroś, a oczy zasypią się wkrótce śniegiem i igłami lodu. Wichry niejednostajne tworzą całe trąby śnieżne — górne mięszając się z dolnemi wiewają straszliwie — cały świat przedstawia natenczas straszliwy, okropny chaos, a człowiek w obec niego bezsilny, wkrótce znajduje śmierć w pośród zamętu żywiołów.

W północnéj Rosyji jednakże zawieje takie nie są tyle okropne, ile więcéj ku południowi. W północnych bowiem okolicach więcéj znajduje się wiosek; kraj urozmaicony lasami i wzgórzami, więcéj daje sposobności do schronienia się i zarazem tamuje drogę wichrom, wstrzymując je w ich szalonym pędzie, albo je téż łamiąc, inny im kierunek nadaje. Inaczéj zaś rzecz się ma na obszérnych stepach ku południowi. Tu setki mil wszérz i wdłuż jest równina a równina, pole a pole; nie znajdziesz tam ani lasu, ani zagaju, ani nawet drzewa, a wioska jedna od drugiéj znajduje się częstokroć o kilkanaście lub kilkadziesiąt mil oddalona. Tam tedy zawieje owe dochodzą do najwyższéj potęgi. Powstają one poczęści tak szybko i niespodzianie, że podczas gdy w południe panowała jak najpiękniejsza pogoda, na wieczór zawieja, czyli wżuga sroży się jak najokropniéj. Zwykle takie zamieszanie w naturze trwa trzy dni, i miészkańcy tamtejsi tak pewni są tego terminu, że zawsze uważają na godzinę, kiedy się rozpoczyna, wiedząc że właśnie w tym czasie dnia trzeciego ustać musi. Rzeczywiście téż już dnia trzeciego wiatrowi tchu nie stanie i zawieja się uspakaja.

Lubo taka zawieja powstaje stosunkowo w bardzo szybkim czasie, jednakże są pewne oznaki, po których można jéj zbliżanie się poznać, a zapewne zwiérzęta przeczuwają ją już dawno przed jéj przyjściem. Kury naprzykład stepowe na trzy dni przed tém krzyczą przeraźliwie i tak krzykiem jak ruchami okazują swą niespokojność. Zawieja czyli owa wżuga rozpoczyna się

albo deszczem albo téż zamiecią śnieżną, a gdy się zimno straszliwie szybko wzmaga, wiatry wirują straszliwie i rzucają tumanami śniegu, wtedy zawieja wzmacnia się, aż dochodzi do owéj strasznéj potęgi, którą Rosyanin nazywa wżugą.

Naturalnie, że wśród takiéj zamieci ustaje wszelki ruch, wszelkie życie, przez trzy dni nikt się z domu nie wychyla. Nawet dzikie zwiérzęta szukają schronienia, tak ptastwo powietrzne, jak i cztéronożne. Nieraz wilki razem z psami przepędzają owe trzy dni w budzie na podwórzu zabudowań ludzkich.

Jeżeli kogo w podróży nawałnica taka napadnie, natenczas nie pozostaje mu nic więcéj, jak albo uciekać do najbliższéj stacyi, jeśli jeszcze dosyć czasu, albo téż wracać co prędzéj do téj, zkąd wyjechał. Pod wiatr bowiem konie iść nie chcą i nie mogą; rwią się one, stawają dęba i ani cugle ani bicz nie pomoże.

Największém wżuga jest nieszczęściem dla pastérzy tak owiec, bydła jako i koni. Posiedziciele gruntów na stepach, nie mogąc pracować w roli, oddają się jedynie hodowaniu bydła. Według wielkości trzody oblicza się majątek. Takie trzody bydła a tabuny koni pasą się wolno; tylko kilku pastérzy chodzi za niemi dla ich pilnowania. Owce i woły dadzą się jeszcze czas niejaki utrzymać w porządku, ale gdy zawieja za mocna, nie zważają ani na psy ani na pastérza, tylko uciekają z wiatrem, aż wpadną gdzie w jakie doły lub rozpadliny, albo téż śnieg je gdzie na zawsze zasypie. Konie wcale nie dadzą sobą podczas zawieji kierować, tylko jak ślepe pędzą z wiatrem i poczęści znajdują grób swój na wybrzeżach morskich, w rozpadlinach, dołach, albo téż rzékach.

Po stepie są tu i owdzie poustawiane stogi siana czasem jest ich więcéj aniżeli sto. Te stogi są portem obronnym dla nieszczęśliwych zwiérząt, które się po za nie kryją. Ale i tu jeszcze nie są zupełnie bezpieczne. Konie mianowicie nie mają wytrwałości, tylko się rwią

na wszystkie strony, przelatują tu i tam, a wreszcie uciekają w stepy. Owce ze wszystkich zwiérząt w tym względzie najgłupsze; jeśli schowały się za stogi, co się nawet rzadko zdarza, znajdują i tu śmierć, ponieważ skupiają się za nadto, stawają zbite zupełnie spokojnie, a pod śniegiem, który je zasypuje, niedługo się uduszają.

Woły są najwytrwalsze i najwięcéj zachowują krwi zimnéj. Ukrycie za stogami dla koni, jeśli nie zasypaniem śniegiem, który jak naprzykład na owcach, zwali się niby góra, grozi im jednakże po za kupą ową siana śmiercią głodową. Stogi te bowiem pokrywają się zaraz skorupą lodową, a późniéj powłoką śniegu. Woły umieją sobie tutaj poradzić, gdyż rogami lód kruszą i z pod lodu wiązki siana wydobywają.

Lubo twiérdzenie, jakoby *wżuga* trwała tylko trzy dni, nie jest nieprawdziwém, to jednakże każda zawieja trwa od 8 do 14 dni, chociaż potém nie wieje z taką siłą jak przez owe trzy dni. Wyrozumiéć więc można jak wielka ilość bydła marnieje, zwłaszcza że każdéj zimy sześć lub osiem takich zawieji się zdarza. Ztąd téż latową porą nic nowego napotkać na całe stósy szkieletów zwiérzęcych, a pomiędzy niemi zwykle i szkielety wiernych pastérzy, którzy z trzodą pod zaspą śniegu grób swój znaleźli.

Lubo stepy tylko mają trzy miesiące zimy, jednakże zawieje owe tyle narobią szkody, że uwierzyć byłoby trudną, gdyby to nie było sprawdzoną. Jednego roku np. tylko sam szczep Kirgizów utracił w takiéj burzy jeden milion owiec, 280,000 koni, 30,000 bydła rogatego i 10,000 wielbłądów. Jakaż przerażająca liczba powinna być wszystkich zwiérząt razem!

Jak wielkie niebezpieczeństwo grozi człowiekowi podczas takiéj zawieruchy, przekonamy się tylko na kilku przykładach.

Zwykle przy zabudowaniach miészkańców stepowych są studnie dla pojenia bydła, cokolwiek od miészkania

oddalone, ponieważ miészkania stoją poczęści na pochyłości wzgórza, a studnia niżéj w dolinie. Do takiéj studni nie ma daléj, jak 100 do 200 kroków, a jednakże podczas zawieji bydło w oborach stać musi nie napojone, ponieważ nikt i téj małéj przestrzeni przejść się nie odważy. Nawet bydło musi częstokroć całemi dniami stać w oborze o głodzie, ponieważ niepodobieństwem jest przejść tak z izby do obory, jako téż brać siano ze stogów stojących obok stajen i obór. Niepodobieństwem jest raz, że mroźny wicher człowieka przejmie zaraz do saméj kości, a powtóre, że stogi pociągnięte są skorupą lodową, a chociażby kto i siana uskubnął, to mu je wicher natychmiast ze skostniałéj ręki wyrwie.

Kuryerzy rosyjscy znani są tak ze swéj wytrwałości, gorliwości jako téż wierności we wypełnianiu rozkazów swych przełożonych. Mimo tego podczas zawieji żaden kuryer w podróż daléj się nie puści, chociażby wiózł ukaz samego cara.

Pewien książę rosyjski wracając do domu miał to nieszczęście, że go zawieja spotkała tuż przy pałacu, gdyż ledwo od niego był trzy wiorsty oddalonym, co ani nawet pół mili nie wynosi. Mimo tego musiał przez trzy dni siedzieć w brudnéj chałupie rosyjskiego wieśniaka, jeść gruby chléb, pić kwas i spać w jednéj izbie ze świniami, ponieważ nie było podobieństwem dostać się do domu. Przecież takiemu księciu zapewne na środkach dostania się do domu nie zbywałoby w innym razie.

Przykłady przytoczone są tylko małym, bardzo małym obrazkiem, gdyż chcąc o okropnościach takiéj zawieji dawać obrazy, trzebaby grube tomy napisać. Pastérze mianowicie, ci mieliby i mają tak wiele o tém powieści, zdarzeń i przykładów, że tego ani zliczyć nie podobna.

Po przejściu takiéj zawieji całemi masami przynoszą ciała nieszczęśliwych zmarzłych do miast i wsi. Częstokroć wjeżdżają do miasta sanie, ale niestety! tak

woźnica, jak i podróżni są niczém więcéj, jak bryłą lodu! Wielka liczba ludzi, zajętych pracą na wolnym powietrzu, zostaje na całe życie bez palcy, uszów lub nosa.

Zawieja na nizinach podolskich.

Ze stepami rosyjskimi graniczy Ukraina i Podole. Wichry i orkany rozhulałe na stepie, nie doznając żadnego oporu, jak fale wściekłe wdziérają się i szaleją po tych ziemiach. Na Podolu równie jak w Rosyji, ginie w takich razach mnóztwo ludzi i zwiérząt tak od mrozu, jak i od śniegu, który ich zasypuje.

Pan Racibor, wracający ze swym sługą Ostafim wśród najpiękniejszéj pogody do swego miészkania na Podolu, nie spodziéwał się żadnego przypadku w drodze. Zima była tęga, ale nic nie zapowiadało, coby ten spokój zimowy nagle zakłucić mogło.

Nagle ze wszystkich stron od razu zerwały się najwścieklejsze orkany i od razu zaczęły swoję grę piekielną na stepie. Patrząc na to, nie można było widziéć, co się dzieje; w okamgnieniu bowiem zrobiło się ciemno do koła, ziemia zdawała się drżéć i trząść od przestrachu, szum i świst przeraźliwy dawał się słyszéć nad głową, a zdala dochodziły jakieś jęki piekielne i całe chóry najdzikszych i nigdy niesłyszanych harmonii, jak gdyby tam gdzieś zapadało się niebó, pękała ziemia i otwiérały się paszcze piekieł podziemnych. Tu wichry podnosiły całe chmury śniegu i niosły je z sobą; gdzieindziéj stawały słupy śnieżne, kręcące się w koło jakby trąby morskie i sięgające do nieba, a tam znowu wicher wyrywał śnieg aż ze skorupą ziemi, i z zamarzniętemi grudkami piasku niósł go światami.

W téj téż chwili było tak ciemno, że woźnica koni nie widział przed sobą, a Racibor nie widział

woźnicy; czasem cała zaspa śniegu upadła pomiędzy nich obudwóch do sani; czasem cała góra biała, gdyby upiór powstający z ziemi, stanęła nagle przed końmi. Ale pomimo to, konie parły naprzód ze wszystkiéj siły, rysak pruł śniég przed sobą łbem i piersiami i zdawał się płynąć po wiérzchu śniegu, siwy w ciągłych szczupakach, to wskakiwał w głąb' téj drogi puchowéj, to wyskakiwał znowu na wiérzch, a sanie rączo pomykały się naprzód.

Pomimo, iż jazda zdawała im się dosyć iść rączo, zaledwie może ćwierć mili ujechali wśród tych wściékających się wichrów i zamieci, gdy obrócił się Ostafi do Racibora i rzekł:

— Oj! panie! nie dobrze; kto wié, co to będzie?

Przerażony tą uwagą Racibor podniósł się trochę z siedzenia i chciał spojrzéć na konie, ale w tym momencie olbrzymia chmura śniegu, kręcąc się z przeraźliwym świstem, padła prosto na nich i na konie. Nie widząc tedy nic prawie Racibor spytał tylko:

— Ale wiész przynajmniéj gdzie jesteś?

— Powinniśmy być teraz na Grafowskiéj granicy, bo oto dopiéro co błysnęła mi po prawéj stronie Męka Pańska, która tam stoi pomiędzy kopcami — odpowiedział kłapiący zębami Ostafi.

— To przeżegnaj się, mój Ostafi, i ruszaj!

Ostafi téż ruszał lejcami, zagadał po swojemu do koni i znowu parł naprzód, a burza wyła coraz wściekléj i groźniéj i zmrok zaczął już zapadać powoli. Chwilami téż robiło się tak ciemno jak śród nocy i nie było widać nawet ręki trzymanéj przed nosem. Ujechawszy tak znowu jakąś przestrzeń niewielką, jeszcze raz się obejrzał i rzekł:

— Panie! źle!

— Cóż znowu? — zapytał Racibor głosem słabym i zachrypniętym, bo wichry robiły się coraz mocniejsze, śniég coraz suchszy i słowa zdawały się zamarzać na ustach.

— Widzi mi się, że rysak już co jeno nie ustanie — odpowiedział Ostafi.

— Pana Boga na pomoc i wio! — krzyknął z przerażeniem Racibor, — nie da Bóg zginąć dobrym ludziom tak marnie.

— W imię Ojca i Syna! — zaszeptał Ostafi i kuląc się coraz niżéj na koźle, ruszał ile jeszcze miał siły. A orkany wściekały się jeszcze groźniéj, bałwany śniegu, marznącego w powietrzu, z szatańską mocą uderzały w boki całego statku, albo go przysypywały z wiérzchu, i podczas kiedy w górze było słychać piekielne rwanie i darcie się chmur gęstych, przelatujących z skrzypiącym szumem, jakby jakieś okręty powietrzne, dołem mróz chwytał ognisty, oddech zamarzał w gardle, przeciskał się aż do kości, zasklepiał oczy. Racibor widział, że źle jest i czuł, że sanie ciągną się coraz wolniéj i zdawało mu się, że nawet ustają chwilami. I chciał pomyśléć o tém, coby tu zrobić, ale myśl krzepła mu w głowie, usta przymarzały do siebie, oczy się nie mogły otwiérać, a coraz mocniejsza senność opadała całe ciało jego; od chwili do chwili tylko pokazywał mu się przed saniami po prawéj wzniesiony łeb siwego konia i zdawało mu się słyszéć jego parskanie.

Aż téż w jednym momencie znowu taki wściekły bałwan marznących śniegów z szatańską mocą uderzył w statek i zdawało się, że konie stanęły. Racibor się podniósł i patrzał przed siebie, lecz nie mógł nic widziéć, bo śnieg gęsty miótł na poprzek sani i coraz bardziéj ciemniało na dworze. Nareszcie nagle przedarły się z przerażającym rykiem chmury nad jego głową, promień jaśniejszego cokolwiek światła padł prosto na sanie i tyle tylko oczy Racibora oświecił, iż mógł dojrzéć wyraźnie, że rysak leżał wyciągnięty przed saniami i śnieg już go przez połowę zasypał, koń siwy rwał się z całą wściekłością i stawał dęba naprzeciw wichrom, a Ostafi stał po pas w śniegu nad

tonącym coraz głębiéj rysakiem i skostniałą rękę ze skórzaną nachajką trzymając w powietrzu, szklannemi oczyma patrzał na straconą ostateczną nadzieję. Ale przy tém wszystkiém zdawało się Raciborowi, że w tym chwilowym błysku światła, widział tuż o sto kroków przed sobą grupę drzéw i pałac, któren wszakże w mgnieniu oka zasłoniła przed nim czarna przeciągająca chmura.

Na ten widok reszta krwi niezastygłéj zbiegła mu się do serca, wściekła rozpacz zaglądnęła mu w oczy, lecz przecie jeszcze tyle miał przytomności, że zlazł ze sani i zawołał:

— Ostafi! co to jest?

— To śmierć, panie, — wyszeptał Ostafi zamarzniętym głosem, a wtém wicher mroźny wionął mu w same oczy, przejął ciało jego do kości; Ostafi zakrzepł tak stojąc po pas w śniegu, z oczyma patrzącemi na leżącego rysaka i z prawą ręką wyciągniętą nad jego trupem.

Widząc to, rzucił się Racibor ku niemu i brnąc przez śniegi, dobił się nakoniec do niego, wołał i trącał go ręką, ale Ostafi nic już nie odpowiedział: bo w jego piersiach nie było już oddechu, i był to już tylko posąg wiernego sługi, martwy jak głaz i zimny jak bryła lodu, wyobrażająca człowieka.

Rozpacz jeszcze głębsza chwyciła Racibora, stanął on, patrzał przed siebie i chciał myśléć, lecz nie mógł, bo coraz wścieklejsze orkany biły prosto w twarz jego, oddech zamarzł mu na ustach i członki kostniały coraz mocniéj, i Racibor sam sobie powtórzył w duszy: to śmierć!

A tymczasem koń siwy, szamocąc się coraz słabiéj przy saniach, rzucił się raz jeszcze z rozpaczliwą wściekłością i z przerażającym jękiem runął na swego towarzysza, przysypanego prawie już całkiem śniegami.

Racibor chciał się obrócić raz jeszcze ku saniom, chciał wziąść worek ze złotem i puścić się pieszo w

dalszą drogę, ale już członki jego, zmęczone bezsennością i pracą, a teraz zakrzepłe w śniegu i w mroźnych zamieciach, odmówiły mu swojéj usługi. W téj ostatniéj rozpaczy złożył on ręce, oczy podniósł w górę i chciał się modlić do Boga o pomoc, chciał resztę życia ofiarować swojemu Stwórcy za jednę godzinę przytomności i siły, — ale modlitwa mu zamarła na ustach i mózg zlodowaciał pod czaską.

W tém znowu rozdarły się czarne chmury nad jego głową i znowu błysk światła oświecił wzrok jego, i znowu zdawało mu się, że widzi tuż przed sobą pałac, ludzi dojrzał na ganku, światełka migały w oknach....

Ale to był ostatni już widok za życia. W momencie bowiem ryk okropny dał się słyszéć nad nim, fala lodowatego śniegu uderzyła go w twarz, oczy obciągnęły się lodowatą skorupą i ostatnia krwi kropla przy sercu zastygła. Bez oporu téż i bez jęku skostniał on pod tą falą okropną, — a w tém uderzyła druga fala i trzecia i dziesiąta, i w kilku minutach potém stanęła nad temi trupami tylko wielka śnieżna mogiła, na któréj poczęły hulać wichry stepowe, śpiéwając i świszcząc najdzikszemi tonami jakąś piekielną harmoniją.

Wybuch Wezuwiusza.

We wnętrzu ziemi ustawicznie gorąco niesłychane tworzy nowe gazy, które, gdyby nie miały w skorupie ziemi otworów, którędyby swobodnie uchodzić mogły, rozdarłyby skorupę i wielkie przewroty i zniszczenia poczyniłyby na powiérzchni. Ziemię można tu przyrównać do ogromnego kotła pary; siła pary rozsadziłaby kocieł, ale maszynista przezorny w razie potrzeby otwiéra umyślnie na to przygotowane klapy i nadmiar pary z kotła wypuszcza. Wulkany nie są niczém inném, jedno naturalnemi takiemi klapami bezpieczeństwa ziemi.

Wulkan jest to góra ostro zakończona, mająca w samym środku czubka otwór w głąb' ziemi. Otworem tym wydobywają się z wnętrza nazbyt nagromadzone gazy i pary. Gwałtowność wybuchów jest tak wielka, że ogromne skały, które się w kraterze czyli w owym otworze znajdują, jak piłki wysoko w obłoki wyrzuca. Przy takich wybuchach zwykle gazy wypiérają z wnętrza znaczną ilość roztopionéj masy, która strumieniem spływa i zaléwa ognistą strugą najpiękniejsze okolice. Masę owę płynną, ognistą nazywamy *lawą*.

Wulkany są albo czynne, albo wygasłe. Czynne wulkany ustawicznie dym przynajmniéj ze siebie wydawają, a od czasu do czasu wybuchają ogniem i lawą. Zagasłe wulkany poznać tylko po kraterach; nie dymią się już, ani téż nie wyrzucają ognia.

We Włoszech znajduje się wulkan Wezuwiusz. Góra ta, 3500 stóp wysoka, jest od miasta Neapolu tylko na dwie mile drogi odległa. Stoi ona sama jedna wśród najpiękniejszych i najżyzniejszych pól i ogrodów. Widoczna rzecz, że siła ognia podziemnego wypchnęła przed wiekami ze ziemi ostrokrąg i utworzyła wulkan do dzisiaj czynny.

Wezuwiusz ustawicznie dymi, a od czasu do czasu wybucha gwałtownie i okropne na około sieje zniszczenie. W roku 79 po narodzeniu Chrystura Pana tak gwałtownie dyszał ogniem, rzucał kamieniami i popiołem i tyle wylał lawy, że trzy piękne rzymskie miasta: Herculanum, Pompei i Stabiae całkowicie zasypał i zalał. Miasta te zniknęły i w późniejszych czasach czytano tylko w starożytnych pismach, że miasta te istniały, ale gdzie, nie wiedziano. W 18 wieków późniéj przypadkiem podziemne owe miasta odkryto.

Na tém miejscu gdzie dawniéj stało Herculanum, stała w roku 1711 wioska Portici. W téj wiosce kopano studnią, ale zamiast wody znaleziono trzy niewieście posągi, które się obecnie znajdują w muze-

um drezdeńskim. Późniéj, bo w roku 1737, rozpoczęto poszukiwanie na nowo i natrafiono na szczyty domów, kopiąc daléj odkryto starożytny teatr — piérwszy budynek z całego odkopaliska.

Dzisiaj wielka część miasta już odkopana i człowiek ma przed sobą zupełnie dobrze zachowane budowle starożytne, którychby nigdy nie był zaznał. Przy odkopywaniu znaleziono i kościotrupy w téj postawie, w jakiéj katastrofa ich zaskoczyła. Tu jeden trzyma jeszcze klucz w ręku, jakby chciał bramę otwiérać i uciékać, tam trzyma wór z pieniędzmi, który chce jeszcze uratować. A może owe pieniądze są jego śmierci przyczyną, bo wszyscy się z domu uratowali, prócz niego, który na wieść o niebezpieczeństwie zamiast się szybką ucieczką ratować, wprzód musiał szukać skarbów, z któremi rozstać się nie chciał. Jednakże stósunkowo bardzo mało kościotrupów znaleziono, oczywisty dowód, że większa część ludności ratowała się ucieczką.

Od roku 79 Wezuwiusz lubo gorzał i czasami lawy rzucał, jednakże nie tak niebepiecznie. Dopiéro roku 1794 znowu zaryczał, zatrząsł ziemią i ludność kilka mil naokoło nabawił strachu śmiertelnego. Ognie podziemne grzmotem zahuczały, ziemia się zatrzęsła, a wulkan lunął całym potokiem lawy. Pan Bóg jednak nie chciał powtórzyć katastrofy z roku 79go i strumień lawy zamiast na ląd, poprowadził w morze.

Naoczny świadek owego pamiętnego wybuchu tak to przerażające widowisko opisuje:

Bawiłem właśnie w Neapolu. Dnia 12go Lipca o północy, leżąc w łóżku, uczułem znaczne trzęsienie ziemi, które się powtórzyło w ciągu kilku minut. Około 4téj zrana ziemia mocno zadrżała. Przypadam do okna i widzę nad miastem grubą chmurę. Cały dzień i całą noc następującą trzęsienia się wznawiały. Dom, w którym miészkałem, był na trakcie ku Wezuwiuszowi; wyraźnie słyszałem łoskot, jakby grzmot podziemny wychodzący z pod góry i rozbiegający się z tamtąd

ku miastu. W dniu następnym drżenie ziemi stało się okropniejszém, niż dotąd. Pręty u żelaznego łóżka mego dźwięcząc zabrzmiały, okiennice gwałtownie się pootwiérały, a dom cały drżał; okropny łoskot, grzmiąc i wyjąc, rozlegał się pod ziemią, powietrze siarką cuchnące oddech utrudzało. Ustawiczne błyskawice przeszywały powietrze, i zdawało się, iż tą razą Wezuwiusz nadzwyczajnym zagraża wybuchem. Jakoż po kilku chwilach przeraził mnie huk, jakby kto ze stu dział razem wystrzelił. Wrzawa, krzyki, gwar i turkot nagle się wzmogły. Wszystkie ulice ludem napełnione; wszędzie słychać tę okropną nowinę, że wulkan cały ogniem i płomieniem gore, a morze się wzdyma i podnosi. Tłumy miészkańców pobiegły na wzgórza, inne się gromadziły po rynkach i obszérnych ulicach miasta, które wtenczas odbijały blask ognia, zajmującego całe niebo, i tak były oświécone i jasne, jak od słońca wśród dnia pogodnego. Jeszcze w pokoju będąc i przypatrując się czarodziejskiéj scenie dowiaduję się, iż wszyscy miészkańcy z domu chwiejącego się powychodzili. Tedy i ja widząc niebezpieczeństwo, opuściwszy dom, udałem się do największego w mieście rynku; i tu tłumy, wrzawa, konie, powozy, natłok wielki i powietrze tak duszne i parne, że wkrótce ztamtąd przedarłem się do grobli portowych. Przychodzę: wszystkie puste jakby wymiótł. Powszechnie obawiano się, żeby nagłe morza wezbranie grobli i bulwarów portowych nie zalało i będących tam ludzi o śmierć nie przyprawiło. Nie obawiając się tego, usiadłem blizko morza na kamieniu, wlepiając ciekawe oko w tę stronę, gdzie przerażające i wspaniałe zjawisko najcudniejsze wystawiało widoki. Około godziny 11téj otworzyło się kilka paszcz ognistych, w równéj prawie odległości od szczytu góry i podstawy. Z nich to szérokie pasy gorejące, wolno spływały strumieniem ku morzu. Jaskrawe światło tych strumieni, złożonych z roztopionéj lawy, odbijało się w powiérzchni spokojnego morza i tak raziło, iż

oko moje blasku tego długo znieść nie mogło, chyba pod zasłoną chustki. Wszystkie te strumienie lawy połączyły się w jednę rzékę, która w obszernem korycie blizko milę wzdłuż góry płynęła. Otwory boczne i główny otwór na szczycie góry, razem płonęły i ogniem buchały, miotając wielkie kamienie do niezmiernéj wysokości. O północy bardziéj jeszcze gorzał i huczał wulkan ogromny. Ciągle przez dwie godziny ciężko grzmiało we wnętrznościach góry. Natenczas morskie wody, lubo spokojne jeszcze, jednak po kilka kroć wzdłuż portu widziałem wezbrane, ale znów opadające. Całe niebo było ciemne, wyjąwszy nad górą, gdzie jasność tak wielka panowała, iż wszystkie przedmioty w najdrobniejszych szczegółach można było rozeznać. O piérwszéj godzinie lud miejski trwogą zdjęty uroczyste odbywał procesye, błagając Boga o odwrócenie grożącego zniszczenia, o wybawienie od ognia i morskiego wylewu, którego się coraz więcéj obawiać zaczęto. O trzeciéj godzinie wybuch ognisty niesłychanéj gwałtowności nabywał. Paszcza najwyższa wciąż błyskami strzelała na wszystkie strony, wciąż gromem huczała a to z powodu, iż znaczna część wiérzchołka góry zrywając się w przepaść ognistą spadła i gardło jéj zawaliła. Ogromne bryły ziemi i skały, ułomy głazów i rozpalone jak węgle, urwiska i kamienie napowrót w powietrze wyrzucone, z strzaskiem i łoskotem spadały i z góry straszliwie szybko się na równiny staczały, wiele niszcząc i roztrzaskując. Zarazem i lawa płynąca z góry tak się wezbrała, iż występując z koryta swego na pół ćwierci mili szérokiem progiem jak wielka rzéka, spadała, a w biegu swoim kościoły klasztory, folwarki, drzewa, mury trawiącym żarem niszczyła, mocą pędu i ciężkością swoją wywracała, gniotła albo porywając unosiła, lub téż w popiół zamieniała. Spustoszywszy znaczny pas uprawnéj ziemi lawa, w gruzy i perzynę obróciła całe miasto Torre del Greco, zamiészkane przez 18,000 ludu, ozdobne

mnóztwem pałaców i gmachów pysznych. Ztąd daléj płynąc bez przerwy doszła do morza i okropnie sycząc jak wąż ognisty, wpływając daleko w morze, zgasła, ostygła i głazem stanąwszy, półwysep w morze wystający utworzyła.

Już tedy i morze się zburzyło i wałem uderzało o mury portowe. Około godziny czwartéj wulkan rozjuszony cokolwiek zwolniał w swoim wybuchu, a lawy zdawało się coraz ubywać. Jasność nad górą coraz malała, i błyskawice przy chwilowéj ciemności bez ustanku wężykiem strzelały na każdą stronę, znikając oku, skoro na nowo blaskiem lawy wybuchającéj przyćmione zostały. O piątéj z rana gromy podziemne znów zawyły, a w tym momencie gęste kłęby popiołu słupami wylatując z paszczy, całą górę ciemnością okryły. Trwoga wszystkich serca ścisnęła, spodziewano się losu miast Pompei i Herculanum, które 79 lat po Narodzeniu Chrystusa popiołem zasypane zostały i do naszych czasów przez 18 wieków pod ziemią nietknięte, jakby snem śmierci spoczywały. Pan Bóg nie chciał zagłady Neapolu. Wszystkie chmury popiołów nie na miasto lecz w morze spadały. Jeden z tych słupów ogniem burym oświécony nademną przelatując, tak mnie przeraził, że ze strachu stanowisko swoje opuściłem. Około siódméj przybywszy do domu, zastałem okno otwarte, a na posadzce warstwę popiołu, na 3 cale grubą. Nadaremnie po południu usiłowałem dostać się lądem do zburzonego miasta Torre del Greco. W dniu następnym nająłem łódkę, przepłynąłem zatokę i wysiadłem tam, gdzie było najbliżéj do miasta. Wybrzeże smutny przedstawiono widok. Miészkańcy mało co unieść przed zniszczeniem zdołali. Z podziwieniem patrzałem na ogromne warstwy lawy, śród miasta się wznoszącéj i zalewającéj ulice. Wiele ryb nieżywych nad brzegiem morza spostrzegłem, które pewno od gorąca wpadającéj lawy zostały zaduszone.

Kara śmierci w Turcyi.

Kilka mil od Mielnik znaleźli kupcy idący do Saloniki trupy dwóch zamordowanych. Jeden ze zamordowanych musiał zajmować wysokie stanowisko, a drugim był Tatar; piérwszy padł od kuli pistoletowéj, która mu piersi przeszyła, a drugi legł pod razami jataganu, zapewne w obronie swego pana. Trupy znaleziono prawie nagie, a konie ich pasły się niedaleko, ale pozbawione ładunku.

Skoro kupcy owe trupy znaleźli, uznali za lepsze udać się natychmiast do Mielnik i donieść władzy o tém, aby czasem podejrzenie o morderstwo na nich nie padło. Schwycili zatém konie i trupy na nie włożyli i zawieźli je do miasta. Tam przed odnośnym urzędnikiem złożyli do protokułu zeznanie, a trupy tymczasem zawieziono do meczetu i wystawiono na widok publiczny, aby w jaki sposób o nazwiskach zamordowanych się dowiedziéć, gdyż nikt tych osób nie znał.

Przypadkiem basza *Mustafa* miał tego samego dnia przybyć do Mielnik, dla tego aga, czyli urzędnik miejscowy, nie chciał sam na swą rękę rozpocząć śledztwa, chcąc sprawę tę samemu pozostawić baszy. Skoro tylko basza wjechał do miasta, zaraz się od wzburzonego ludu o straszliwéj zbrodni dowiedział, o niczém bowiem w całém mieście nie mówiono, jak o owych dwóch nieznajomych trupach w meczecie. Mustafa rozgniéwany takim czynem, zwrócił natychmiast swego konia do meczetu, a zeszedszy tam, udał się na miejsce zgrozy.

Na środku świątyni na dywanie rozłożonym leżały trupy zamordowanych. Twarze ich były zasłonione, a nogi zwrócone na wschód.

Mustafa zbliżył się zwolna; spuścił się potém na kolana, aby wyraz ich twarzy lepiéj rozróżnić, uniósł zasłony... ale w téj chwili wydał okrzyk przeraźliwy, począł sobie rwać brodę, a wreszcie rzucił się na posadzkę i po-

łożywszy czoło na zimnych kamieniach, leżał tak czas niejaki w niemej, okropnéj boleści.

Długo, długo tak leżał, a nikt nie śmiał boleści jego przerywać. Nareszcie się podniósł; twarz jego była blada, ale wyrażała spokój i jakieś postanowienie które boleść niejako ukoiło. Znów się nachylił ku zamordowanym, schwycił za rękę najbliżéj leżącego, a wzniósszy oczy ku niebu, wymawiał zwolna i uroczyście:

— O Said Machomecie! kiedy przy przejściu Bałkanu życie moje przed srogością Moskali ocaliłeś, wtedy ci przyrzekłem, że masz być dla mnie bratem, a niedawno przysiągłem na Ałłacha i jego proroka, że pod onym panowaniem żadna zbrodnia kary nie ujdzie. Przysięgę tę powtarzam w twoim imieniu i przed twoim trupem. Zabójców twoich ścigać będę aż w najodleglejsze zakątki ziemi; krew' ich kroplami wylewać będę; oczy ich mają być pokarmem dla sępów, ciało ich pożrą szakale, a kości mają bieléć w nawałnicach niebieskich. Nie będzie prędzéj trumna mojego ojca zbezczeszczoną, aniżelibym miał mego przyrzeczenia, mojéj przysięgi zapomniéć. O Saidzie! bracie mój! Ty mnie słyszysz!... Rzekłem!...

Po tych słowach powstał, jeszcze raz okiem rzucił na trupa swego przyjaciela, a potém w milczeniu oddalił się od swego mieszkania.

Zwykle Mustafa mieszkał u pewnego bogatego Ormianina. Gdy się znalazł w pomieszkaniu, zamknął się w swych komnatach i niedopuścił ani nawet swego gospodarza do siebie. Zarządził jednakże śledztwo i wyznaczył nagrody 20 kies za wykrycie zbrodniarzy. Była to znaczna suma, gdyż kiesa liczy 500 tala- a zatém cała nagroda wynosiła dziesięć tysięcy talarów.

Przez trzy dni Mustafa z nikim nie mówił, ani nikomu się nie ukazywał. Przez ten czas jednakże dowiedziano się, kto był zamordowanym, którego Mustafa bratem swym nazywał. Said-Machomet był kuryerem wiozącym depesze Wielkiéj Porty, oraz publicznych

pieniędzy 400,000 piastrów, które wiózł do Saloniki do baszy.

Machometa, który po południu dnia poprzedniego przybył do Mielnik, widziano w kąpielni, zkąd udał się do meczetu na modlitwę.

Jako morderców Saida-Machometa miano Albańczyków w podejrzeniu, ci bowiem od niejakiego czasu niepokoili okolicę, trudniąc się rozbojem. Niebezpieczeństwo było tak groźne, że Turcy muzułmańscy, zadając kłam własnéj religii, tylko w towarzystwie siły zbrojnéj podróże po okolicy odbywali. Turcy bowiem wierzą, że człowiek swego przeznaczenia uniknąć nie może — zatém otaczanie się siłą zbrojną było niejako zadawaniem kłamstwa nauce religii, gdyż jeśli człowiek przeznaczenia nie ujdzie, dla czegóż się uzbrajali? dla czegóż otaczali się siłą zbrojną, gdy wierzyli, że jeśli postanowiono zginąć im z ręki zbójcy, to nic ich od tego przeznaczenia nie uchroni?

Po trzech dniach Mustafa otworzył swe komnaty i gospodzarz domu, Ormianin, uzyskał posłuchanie. Cała ich rozmowa toczyła się nad wyszukaniem zbrodniarzy. Zdawało się to być niepodobieństwem, bo jakże uchwycić właśnie tego Albańskiego rozbójnika, który Machometa zabił? Dla tego Ormianin wynurzył się z myślą, aby całéj téj sprawie dać spokój, a raczéj siłą zbrojną rozbojom raz koniec położyć.

Mustafa lubo słuchał rad Ormianina chętnie, jednakże na zaprzestanie śledztwa zezwolić nie chciał. Ormianin widząc postanowienie baszy, przyrzekł ze swéj strony jak największą baczność i pomoc we wykryciu zbrodniarza, i zaraz téż po skończoném posłuchaniu stósowne poczynił kroki.

Mustafa tymczasem usiadł i zajęty smutnemi myślami, nie uważał, że kobierzec perski drzwi zasłaniający się uchylił i istota jakaś, niby sylfida, niesłyszalnym krokiem ku niemu się zbliżała. Była to *Irena*, córka Ormianina. Basza lubił to dziécię bardzo. Pod-

czas narodzenia Ireny znajdował się właśnie basza w tym domu. Matka jéj dawszy dziecku życie sama swe w téj chwili zakończyła, a basza przytomny smutnéj téj uroczystości, przyrzekł nowonarodzonemu dziécięciu opiekę.

Irena rosła, a z latami rozwinęła cały zasób piękności, którą natura ją obdarzyła. Obecnie liczyła sześć wiosen. Było to cudne dziéwczątko; basza lubił ją bardzo i zwykle podczas pobytu swego w Mielnikach większą część wolnego czasu z nią przepędzał. Tak daleko nawet potrafiła sobie Irena zjednać serce Mustafy, że ten wielokrotnie objawił chęć jéj adoptowania, co w razie jéj osiérocenia miało nastąpić napewno.

Dzisiaj jednakże ani Irena nie potrafiła rozproszyć chmur osiadłych na czole baszy. Irena widząc smutne usposobienie Mustafy, nie rzekła ani słowa, tylko siadła u stóp jego i zaczęła bawić się kwiatami, które w nadobnym koszyczku przyniosła ze sobą. Gdy jednakże basza jeszcze się do niéj nie odezwał, natenczas Irena dotknęła się jego w pierścienie ustrojonych palcy i rzekła:

— Baszo! jeśli będziesz się ze mną śmiał cokolwiek, natenczas dam ci swoje najpiękniejsze róże.

— Moje dziecko, — odrzekł Mustafa, — nie potrzebuję dziś twoich róż, gdyż w sercu mojém tkwi pełno ciernia.

— Kiedy tak, — rzecze Irena, — dam ci talisman, który twe cierniem zranione serce uzdrowi.

— Zbierz róże i odéjdź razem z twym talismanem. Serce moje jest chore, nie jest dziś dla ciebie otwartém.

Jednakże Irena nie odeszła. Z miną tajemniczą rozwinęła bogaty szal, który jéj za pas służył, a wydobywszy z niego pierścień z pięknym szafirem, podała go baszy, mówiąc żartobliwie:

— Patrz! bierz ten pierścień, ale śmiéj się!!

I rzeczywiście Mustafa zaczął się śmiać, ale śmiechem tak piekielnym, a oczy jego takim ogniem zabłysły, że Irena przestraszona odskoczyła na stronę i ręce ku niemu wzniosła, niby się modląc.

— Ireno! zkąd masz ten pierścień? — krzyknął basza.

Irena zalękła nic nie odpowiedziała.

— Mów mi natychmiast! zawrzasnął powtórnie.

— Źlem zrobiła!... — odpowiedziała płacząc Irena, — ojciec się będzie bardzo na mnie gniéwał!..

— Mustafa pohamował cokolwiek swe uczucia i rzekł łagodniéj:

— Zkąd masz ten pierścień, powiédz mi moje dziécię.

— Przed trzema dniami, — zaczęła opowiadać ciągle płacząc, — weszłam rano do tego pokoju, gdzie mój ojciec ma schowane pieniądze i klejnoty. Właśnie ojciec był pakowaniem jednego kufra zajęty, dla tego przystąpiłam bliżéj, aby się błyszczącym kamieniom przypatrzéć. Gdym się nachyliła, wypadł ojcu z ręki ów pierścień i przykulnął się aż do mnie. Podniesłam go i schowałam, a potém zapomniałam o nim, a gdy mi się późniéj przypomniało, obawiałam się kary, dla tego...

Basza nie dał jéj domówić, nakazał milczenie przed ojcem, a mianowicie nie dał nikomu powiadać, że ów pierścień schował. Popieściwszy się czas niejaki z dziewczynką, kazał jéj od siebie odejść. Gdy jednak pozostał sam na sam, wykrzyknął:

— Ałłach Kierim! wielki Boże! Tyś wybrał to dziécię na wykrycie zbrodniarza i na ukaranie przestępstwa. Tak, to jest ten pierścień, który ja sam Seid-Machometowi dałem wtedy gdy moje życie ocalił... Tu stoją jeszcze wyrazy, które sam wyrznąć kazałem... Nie ma wątpliwości, że to jest pierścień Saida, ale jakim on sposobem dostał się w ręce Ormianina?

Tu basza klasnął trzy razy w ręce, a wchodzące-

mu murzynowi kazał zawołać Ormianina, który się też wkrótce stawił.

— Psie niewierny! krzyknął Mustafa do Ormianina wchodzącego, — zkąd masz ten pierścień?

Ormianin stanął jak jak piorunem rażony; wszystka krew zbiegła mu do serca, twarz pokryła się bladością, a członki konwulsyjnie zadrżały na widok błyszczącego szafiru. Jednakże nie długo się opamiętał i odpowiedział baszy, że pierścień ten kupił od jakiegoś Albańczyka.

— Gdzie jest ten Albańczyk? jak się nazywa? — krzyknął znów basza gromkim głosem.

— Tego, o Panie! powiedzieć nie umiém, — odrzekł Ormianin spokojnie, — gdyż nie znam owego Albańczyka.

— Kłamiesz, psie! — wrzasnął Mustafa. — Pierścień ten był własnością Said-Machometa... a ty znasz morderców jego... wydaj ich!..

Naturalnie Ormianin zaprzecył temu, ale w dalszych odpowiedziach na pytanie Mustafy tak się powikłał, że go tenże kazał natychmiast uwięzić i stawić przed kadego (sędziego).

I tu Ormianin do niczego przyznać się nie chciał. Wzięto go na tortury i dano mu chłostę przytém na podeszwy nóg bosych. Ormianin jednakże nic nie wywydał, a przytém stracił przytomność i musiano go odnieść do więzienia. Uwięziono potém sługi Ormianina, którzy również do niczego przyznać się nie chcieli lub nie mogli, lubo i tych wzięto na tortury.

Wreszcie uwięziono starego żyda, powiernika Ormianina. Ten z początku również nic wydać nie chciał, kiedy go jednakże zaczęto bić na podeszwy, już po kilku razach wydarł się oprawcom z ręki, upadł na kolana przed baszy i wyrzekł:

— Litości! litości, o panie! wszystko opowiém.

Uwolniono go natychmiast, a żyd opowiedział co następuje:

— Ormianin posiadał niedaleko od Mielnik piękny ogród z letnim pałacykiem, w którym bardzo często przebywał i noce przepędzał. Wiedząc, że Said-Machomet z publicznymi pieniędzmi przez Mielniki przechodzić będzie, pozostał przez noc w pałacyku, aby podejrzenia na siebie nie ściągnąć. Nad ranem obudził on owego żyda, a przebrawszy sią obaj za Albańczyków i uzbroiwszy się w pistolety i jatagany, wyszli na tę drogę, kędy Said-Machomet koniecznie przejeżdżać musiał. Tu ukryli się w gruzach starego meczetu. Obok niego znajdowało się źródło i studnia dla pojenia bydła.

Nie długo czekali, gdyż wkrótce ujrzano zbliżającego się Said-Machometa i Tatara. Podczas kiedy Tatar poił konie, Said-Machomet rozpostarł kobierzec, ukląkł na nim, a zwróciwszy twarz w stronę do Mekki zaczął jako dobry muzułmanin, odmawiać swe ranne pacierze.

W téj chwili Ormianin wystrzelił z pistoletu, a kiedy wystraszony Tatar nadbiegł, już pan jego przeszyty kulą, ostatnie wydał tchnienie. Nim jeszcze Tatar mógł wyjść z przerażenia, wyskoczył Ormianin i zarąbał go jataganem. Żyd tymczasem zabrał się do koni, z których zdjął wszystko, co było kosztownego. Zabrawszy skarby udali się napowrót do pałacyku, gdzie w sklepie wszelkie kosztowności zachowali, a sami udali się do miasta i prędzéj tam przybyli, aniżeli kupcy, którzy trupy owe znaleźli.

Żyd w swym zeznaniu dodał, że to nie piérwszy raz gdzie Ormianin ręce swe krwią ludzką zmaczał. Ze jednakże wiele rozdzielał jałmużn, i wysokie zajmował stanowisko, dla tego nigdy podejrzenie na niego nie padło.

Aby się o prawdzie przekonać natychmiast udał się basza do pałacyku, gdzie rzeczywiście zakopane w sklepie skarby i kosztowności Said-Machometa znaleziono.

Zbrodnia była udowodnioną i wyrok nastąpił. Żyda osądzono na powieszenie na drzwiach swego pana, Ormianina na pal.

Skoro wyrok zapadł, żądał Ormianin posłuchania u baszy, którego na pamięć dawnéj przyjaźni błagał o złagodzenie wyroku; ale wszystko napróżno. Zbrodniarza więcéj umarłego aniżeli żywego musiano odnieść do więzienia, gdzie popadł w niebezpieczną chorobę, tak, że miano obawę, aby zbrodzień nie umarł na zwyczajny sposób, a tak żeby nie uniknął spełnienia na nim wyroku. Jednakże starania lékarzy i troskliwa opieka wkrótce doprowadziła go znowu do sił dawniejszych.

Nadszedł dzień egzekucyi.

Już od samego rana pospólstwo tłumnie biegło tam gdzie leżały gruzy starego meczetu, a na którym, to miejscu i zabójstwo było popełnioném i wykonanie wyroku miało nastąpić. Dla baszy i jego otoczenia urządzono wywyższenie, wyłożone dywanami i kobiercami. Trybunę ową otaczała gwardya.

Basza przypatrywał się przysposobianiom do egzekucyi ponuro, a nawet zadrżał na widok napisu, na studni przy meczecie. Napis ten brzmiał: Inni więksi odemnie, pili z tego źródła, a jednak śmierć oczy im zamknęła! — Rzeczywiście smutny napis, a dający wiele do myślenia!

Hałas oddalony dał znak, że zbrodniarza prowadzą na miejsce. Niedługo téż ukazał się Ormianin, wystrojony jak najkwintniéj, ze związanemi rękoma na grzbiecie. Oczyma unikał, ile mógł, owego nieszczęsnego pala, który miał być ostatniém jego siedzeniem za życia.

Śmierć na palu, na którą w Turcyi zbrodniarzy wskazują, jest jedną z najokropniejszych, a może i najokropniejszą. Wzbija się w ziemię pal drewniany, u góry ostro zakończony. Zbrodniarza wbijają kaci na ów pal tak, że ostrze jego wzbija się pomiędzy nogami aż do piersi. Śmierć rzadko natychmiast następuje, gdyż ostrze rozrywa tylko wnętrzności brzuchowe a

zatém, lubo w strasznych, niezmiernych boleściach, człowiek jednakże czas niejaki jeszcze żyje. Barbarzyński to sposób tracenia zbrodniarzy — godzien zaiste pogan!

Pal dla Ormianina stał już przygotowany. Z jednéj i drugiéj strony stały przystawione drabiny. Kiedy Ormianina do palu przyprowadzono, zdarli oprawcy z niego odzienie ze szybkością niesłychaną. Przez ten czas głucha, dusząca cisza panowała pomiędzy zgromadzonym ludem. Każdego coś gniotło i tłoczyło, a lubo z przerażeniem, jednakże wszystkich oczy zwrócone były na grupę oprawców i na biały świecący pal.

Niedługo oprawcy jeden po drugim zaczęli wchodzić na drabinę i tam u czubka czekali na resztę. Towarzysze tymczasem nieszczęśliwego Ormianina wnosili coraz wyżéj, aż wreszcie wszyscy u czubka pala utworzyli koło, tak, że Ormianina widać nie było. Naraz wznieśli go wysoko po nad głowy i nagle spuścili na dół — a w téj téż chwili usłyszano przeraźliwy krzyk... Krzyk boleści, rozpaczy! Jak błyskawica zniknęli oprawcy, a zgromadzeni ujrzeli Ormianina wbitego na palu i wijącego się w straszliwych konwulsyach.

Straszny to był widok! Kto go raz oglądał, temu on nigdy w pamięci się nie zatrze i jak widmo w oczach stać mu będzie. W szamotaniach się strasznych rozerwał nieszczęśliwy powrozy krępujące mu ręce i zaczął ramionami machać, niby śmigami. Basza na ten widok zarzucił turban na oczy, a tymczasem Ormianin zaczął miotać nań straszliwe przekleństwa.

— Przeklinam cię!... — wrzeszczał straszliwym głosem, — przeklinam dzień, w którym cię po raz piérwszy ujrzałem!.. przeklinam godzinę, w któréj po raz piérwszy wszedłeś w progi domu mego!.. przeklinam dziecko moje, które mnie wydało!.. przeklinam Boga, który mnie opuścił!.. przeklinam!...

W téj chwili chrapanie śmiertelne przerwało mu mowę.

— Wody! wody! — zabełkotał głosem ochrypłym.

Basza zwrócił się do swego otoczenia i rzekł spokojnie:

— Niech się napije, nieszczęśliwy, i niech umrze.

Kropla zimnéj wody podana wbitemu na pal, przynosi mu natychmiast śmierć. Zwykle téż straże stoją przy palu i spełniają ten miłosierny uczynek, gdyż zdarza się, że nieszczęśliwy częstokroć dwa dni żyje jeszcze, jeżeli ostrze pala nie przebiło jakiego żywotnego organu.

Przystawiono więc drabinę do pala i wniesiono konającemu naczynie z wodą, w któréj był lód. Jednakże Ormianin zebrawszy jeszcze reszty swych sił, wyrwał podającemu naczynie i rzucił je na głowę baszy, krzyknąwszy: nie chcę nic od ciebie, przeklęty!

Ale było to ostatnie wytężenie, ostatnie słowa. Głowa jego opadła, ramiona się opuściły i z przekleństwem na ustach, skonał.

Wycieczka na Czarnohorę.

Pan *J. Tretiak* ze Lwowa, zrobiwszy wycieczkę na Czarnohorę w licznem towarzystwie opisuje ją jak następuje:

Dora i Mikuliczyn są tém dla Czarnohory i w ogóle dla Karpat kołomyjskich, czém Zakopane dla Tatrów; ale ani Dora, ani Mikuliczyn nie doczekały się swego doktora Chałubińskiego, któryby széroko rozniósł ich sławę, a jednocześnie wpłynął na to, żeby przyjeżdżający w te strony znajdowali przynajmniéj zaopatrzenie piérwszych potrzeb życia. To téż kiedy w Zakopanem pełno zawsze gości z różnych stron Polski, do Dory i Mikuliczyna tylko wschodnia Galicya wysyła nielicznych wielbicieli karpackiéj przyrody i trochę liczniejszych wyznawców żętycy. A jednak dolina Prutu, począwszy od Dory aż do źródeł jego pod Czarno-

horą, należy do najpiękniejszych miejscowości naszego kraju i niektóremi ustępami swemi może tak samo się szczycić, jak dolina Dunajca swoim wyłomem w Pieninach; co się zaś tyczy gór tutejszych, to nie są one prawda, tak wysokie, nie tak dziko poszarpane i nie mają tak pięknych jeziór górskich jak Tatry, ale za to w bogactwie dziewiczych lasów i łagodnie rozesłanych nad niemi zielonych a miękkich połoninach posiadają wielki a oryginalny urok.

Letni goście Mikuliczyna i Dory mają dwa główne cele wycieczek: Chomiak i Czarną Górę. Wycieczka na Chomiak należy do łatwiejszych, odbywa się w jednym dniu i sowicie się wynagradza pięknym i rozległym widokiem, jaki się roztacza ze szczytu téj góry. Przeciwnie wycieczka na Czarnohorę, połączona jest z wielu trudnościami i niewygodami, trwa co najmniéj trzy dni, i tylko przy pięknéj pogodzie, która tu jest rzeczą bardzo rzadką, udać się może. Dla tego to w ogólném mniemaniu należy ona do na wpół bohaterskich wypraw i jakimś legendowym zmiérzchem bywa otaczaną, choć Bogiem a prawdą mniéj jest w niéj niebezpieczeństwa niż niewygód. Ale przyjemnie jest po przebyciu choćby i niewielkich niebezpieczeństw, rozważać je i opowiadać innym w taki sposób, żeby z opowiadania tego jak najlepszą ukuć sobie sławę pod względem odwagi. Tém mniéj to dziwić powinno, że zwykle jedną z głównych pobudek do tego rodzaju wypraw jest ambicya. Iluż to ludzi, a przedewszystkiem Anglików, drapie się na szczyty słynne ze swéj niedostępności, dla tego tylko, aby módz powiedziéć sobie i innym: tam byłem!

Nie wiém, dla czego Czarnohora od dawna drażniła moję ambicyą, od dawna pragnąłem miéć prawo powiedzenia: tam byłem! Być może, iż do tego podrażnienia przyczyniały się owe mętne na wpół legendowe opowiadania o drodze na Czarnohorę, a może i to, że do dziś jeszcze ta część Karpat należy do naj-

mniéj znanych i zwiedzanych. Raz już przed cztérema laty byłem w drodze na Czarnohorę, ale towarzystwo, z którém się wybrałem, było zbyt małoletnie, ażeby można było daléj dojechać, niż na piérwszą stacyę téj drogi. W tym roku tak się szczęśliwie złożyło, że znalazłem w Mikuliczynie towarzystwo ochocze i zaprawione do najtrudniejszych wycieczek, a w osobie pana Lobera, nadleśniczego z Tatarowa, nadzwyczaj chętnego i dzielnego przewodnika. Trzeba było tylko modlić się o pogodę, nie już koniecznie niewzruszoną ale przynajmniéj taką, któraby szczytów nie otaczała chmurami.

Ranek 7go Siérpnia, kiedyśmy wyjeżdżali z Mikuliczyna, był bardzo pogodny i obiecujący. Do Tatarowa jechaliśmy cesarskim gościńcem, ciągle po nad Prutem, przenosząc się tylko po dudniących mostach z jednego brzegu na drugi. Po obu stronach drogi, bardzo blizko od niéj, wznoszą się wysokie wzgórza, pokryte lasem świérkowym, i tworzą dość wysoką dolinę Prutu. Słońce już się pokazało i lekkie mgły zaczęły się sunąć grzbiétami gór, malowniczo rozwiészając swoje postrzępione, białe i przejrzyste szarfy na ciemnozielonych lasach świérkowych. Z przyjemnością, ale i z trwogą zarazem wpatrywaliśmy się w tę lotną igraszkę promieni słonecznych, bojąc się, by się nie uniosły w górę, coby zwiastowało nieuchronny dészcz, tak bardzośmy się jeszcze bali dészczu, z którym potém oswoiliśmy się jak z rodzonym bratem. My tu zapatrzeni w blizkie i figlarne obłoczki, które zdawały się nie wiedziéć jeszcze co mają z sobą robić, a tam w głębi gór przed nami gdzieś od Chomiaka zakłębiło się nagle mgłami, powiał dech wilgotny gór, i już niebo do połowy zasunięte. Towarzysz mój, który się lubi bawić w meteorologię, zapowiedział dészcz i oświadczył stanowczy zamiar odradzania wycieczki reszcie towarzystwa, z którą mieliśmy się połączyć w Tatarowie. Ale najstraszniejsze proroctwa nie zdołają zachwiać odwagi niewieściéj. Trzy nasze towarzyszki,

z któremi połączyliśmy się w Tatarowie, wszystkie trzy Stanisławowianki (co niech idzie na chwałę temu miastu), słuchając tylko meteorologicznych wskazówek własnéj ochoty i odwagi, z oburzeniem odparły przepowiednie dészczu i obwieściły najpiękniejszą pogodę. Błogosławioném następstwem tego manifestu, pomimo iż przepowiednie ich nie miały się spełnić, było to, żeśmy pojechali daléj.

Od Tatarowa cesarski gościniec, wiodący do Szigetu, rozstaje się z doliną Prutu: my więc jadący do źródeł Prutu, rozstaliśmy się tutaj z gościńcem i pojechaliśmy boczną drożyną do Worachty, ostatniéj wioski pod Czarnohorą i ostatniego miejsca, dokąd można dojechać wozem. Wszędzie tu droga prześliczna; po większéj części w skalistym wąwozie umajonym drzewami, na dnie którego Prut się toczy, szumi i pieni.

Worachta leży w rozkosznéj dolinie i z zacisznego położenia swego przypomina trochę Zakopane. Ale kiedy w Zakopanem huk młotów kuźnicznych i chrzęst sztab wiezionych rozlega się w powietrzu, w Worachcie nic nie przerywa doskonałéj ciszy sielskiéj, nawet ładna drewniana cerkiewka raz tylko na kilka tygodni odzywa się srébrnym, skocznym głosikiem, wołając wiernych na mszą; nie ma tu bowiem osobnéj parafii; nawet turkot wozów jest nadzwyczajném, wyjątkowém zjawiskiem dla miészkańców téj wioski, którzy wozów wcale nie mają, a konno tylko jeżdżą, tak mężczyzni jak kobiéty. Do przewożenia wszelkiego rodzaju rzeczy służą podwójne wory ze skóry lub sukna, przewieszane na koniach, a zwane przez Hucułów *besachami.*

Po małym posiłku mlécznym na bujnéj łące górskiéj pod chatą gazdy, który ma być sternikiem naszéj wyprawy, siadamy na konie i daléj w drogę. Nie ma tu damskich siodeł; panie są równouprawnione z mężczyznami pod względem siedzenia na koniu, i dlatego wybrały się w drogę w stroju, który przypomina trochę strój Turczynek. Siodełka drewniane są dość wy-

godne, gdy się je grubo wyściele kocami, płaszczami lub czémś podobném. Ale na największą pochwałę zasługują konie, a raczéj koniki huculskie, poczciwe zwiérzęta, które owsa nigdy nie widzą, a mimo to są niesłychanie wytrwałe, i tak mocne w nogach, że można im z całą ufnością powierzyć bezpieczeństwo swéj osoby.

Godzina dziesiąta rano, słońce pali; wjeżdżamy w chłodne lasy świérkowe, w których cieniu mamy jechać cały dzień, aż do stóp Howerli, najwyższego szczytu Czarnohory. Ścieżka wiedzie to dolnym brzegiem szumiącego Prutu, to wysuwa się na górną krawędź rzéki, to odskakuje w głąb' lasu, ażeby znów wrócić do rzéki, tam gdzie brzég jéj nie jest zbyt niegościnnym. Ręka ludzka nic tu nie zrobiła dla ułatwienia drogi, w lesie w poprzek ścieżki rozwalają się najwygodniéj potężne kłody, olbrzymią dłonią wichru z korzeniem wyrwane z ziemi. Korzenie ich stérczą czasem w powietrzu jak wielkie ołtarze bóztw leśnych, któremi fantazya Huculów zaludnia tę puszczę. Obok cały cmentarz drzew; jakiś olbrzymi pradziad legł na dole, cały mchem grubo obrośnięty; na nim pokładły się młodsze pokolenia, tworząc widok, który przypomina obrazy litewskiéj puszczy z *Pana Tadeusza*. Górnym Prutem z powodu wodospadów nie można spławiać drzewa, i dla tego wolno tu drzewu żyć i umiérać swobodnie. Nie siekiéra ludzka, ale wicher tu rządzi; gdzieniegdzie ślady jego przejścia inny jeszcze orginalny i groźny tworzą widok. Oto wpadł wicher między dziatwę leśną, wysokie ale cienkie smereki, i chwytając je, jakby garściami, miotał niemi na wszystkie strony. Dziś uschłe, a z powodu lekkości swéj w powietrzu się krzyżujące, wyglądają te świérki, jak jaka siéć martwa, albo jak grad strzał lub lanc ciskanych dłonią leśnych olbrzymów.

Z powodu ciągłych deszczów, więcéj teraz niż zwykle było wilgoci i błota; między korzeniami drzew rozlewają się wielkie kałuże; ówdzie w gęstém bagnie koń zapada po wyżéj kolan. Ale dzielne to zwiérzątko

umié zawsze wybierać sobie drogę najlepszą, czy to w bagnie, czy przełażąc przez kłody, czy drapiąc się w górę, czy ślizgając się po przepaścistéj ścieżce z góry. Ma ono swój rozum, swoim tylko oczom i nogom wierzy, i dla tego koń z tyłu idący za drugim koniem nie zawsze tą samą co poprzednik idzie drogą, ale obiera inną zastósowaną do swoich sił, zręczności i podkucia. Gdy droga trudna, koń często zatrzymuje się i rozważa; wodzi wzrokiem dokoła, i choćby najdaléj upatrzył lepszą przeprawę, to ruszy w tamtę stronę. Najgorzéj jest w miejscach trudnych chcieć kierować koniem; przeciwnie, trzeba mu zupełnie puścić cugle i spuścić się na jego koński rozum i nogi. Doradzają tego najdoświadczeńsi górale, a i sam miałem nieraz sposobność przekonać się o tém. Nieraz koń nie chciał mnie słuchać, kiedym go chciał na gorszą drogę wprowadzić, i kiedy po nauce danéj przez górali pozostawiłem koniowi wolność w obraniu drogi, to musiałem potém przyznać, że słuszność była po stronie zwiérzęcia. Jeźdźcowi pozostaje tylko zważać na swoje nogi i głowę, koń bowiem wybiera najłatwiejszą drogę, nie troszczy się o to, aby nogi jeźdźca o pnie nie zawadzały, a głowa o gałęzie.

Po trzy lub cztérogodzinnéj wędrówce takiéj wyjeżdżamy na dość obszerną słoneczną i pachnącą sianem polankę. Jest to Zawojela, prześliczna łąka leśna, należąca do Worochty. Tu miejsce popasu. Słyszałem wiele o tém, że staraniem Towarzystwa tatrzańskiego urządzono na drodze do Czarnohory szałas dla popasów i noclegów, i wyobrażałem sobie, że szałasy te stawiane są na wzór szałasu nad Morskiém Okiem lub w Rotoce. Mój Boże! tyle drzewa próchnieje, że można by tanim kosztem cały pałac drewniany wybudować. Piérwszy taki szałas, zwany tu *kolibą*, spotykamy w Zawojeli, i pokazuje się, że koliba jest to nic innego, jak długie poddasze ze świérkowych gałęzi, jedną stroną oparte na ziemi, trochę potrząśniętéj chojną, z dru-

giéj strony zupełnie otwarte. Gdyby wieczna panowała pogoda, to byłoby rozkosznie w takiéj otwartéj kolibie, pod dachem iglastym, tchnącym żywicą; ale niestety, jeden dzień bez deszczu jest rzadkością. Jakby na dowód téj prawdy niebo dotychczas pogodne szybko zaczyna się chmurzyć, słońce gaśnie, zaczyna błyskać, grzmiéć i lać. Chowamy się żywo do koliby z niedogryzionemi resztkami kur pieczonych, jedynego przyzwoitego mięsa, jakiego w Mikuliczynie dostać można było. Rozścielają się koce na wilgotném iglastém posłaniu, z pogodą się humor zasępia, nasz meteorolog mógłby tryumfować, gdyby i jego nie trapiła obawa, że to może na długi deszcz się zaniosło, że może trzeba będzie wrócić z pod Howerli, jak to niedawno zrobiła wyprawa Towarzystwa tatrzańskiego, która cały dzień siedziała w kolibie na Zaroślaku pod Howerlą w mgle i deszczu, czekając choćby na odrobinę pogody i jasności, żeby się puścić na ten szczyt najwyższy Czarnohory i nie doczekawszy się, musiała wrócić żtamtąd do domu. Niebawem czujemy, że deszcz zaczyna się z góry do nas przekradać, i to tak obficie, że ktoś rozweselającą zrobił tu uwagę, iż koliby muszą służyć do przecedzania deszczu. Wszystkie koce i chustki są w ruchu; kurczymy się na ziemi przy sobie i nakrywamy różnego rodzaju przykryciami. Był to widok istotnie dość śmiészny i wiele wpłynął na poprawienie humoru. Panie nasze zresztą okazywały hart duszy, który dodawał odwagi nawet ludziom najbliższym rozpaczy.

Wreszcie niebo się trochę wypogodziło, deszcz jeszcze troszkę kropi, ale czekać nie można; siadamy zmokli na konie i daléj w las. Ulewa głębiéj w górach musiała być jeszcze większą jak na Zawojeli; wezbrane potoki poniosły pędem wodę do Prutu, który już nie pienił się i szumiał, ale wściekał się i ryczał, tłukąc o kamienie brudno żółtemi kędziorami fal swoich. Gdyby był poeta między nami, z pewnością nie omieszkałby był powiedziéć, że ten nieposkromniony syn Neptuna

rozzłoszczony jest na nas, że śmiemy do jego kolébki się wdzierać, i dla tego tak ciska się i miota. Ba, nie tylko ten powód obrazy, ale inny mógł być jeszcze: oto musimy przejechać w bród po tych rozczochranych falach na drugą stronę rzéki. Naturalnie stósownie do zasady *divide et impera* przejeżdżamy rzékę w miejscu, gdzie się rozdziela na dwa ramiona i gdzie pęd zatém słabszy. Koniki nasze już tu wzrokiem posługiwać się nie mogą, więc kopytem długo macają dno, wielkiemi kamieniami zawalone, zanim krok postawią.

W głębi lasu jeszcze bardziéj bagnisto, jak przedtém, i aż duszno od wilgoci. Ta całodzienna wędrówka po lesie, w cieniu i wilgoci, z ciągłém przełażeniem przez powalone kłody, z ciągłém zapadaniem w kałuże, nuży, męczy i posępnie uspasabia, ale za to co za przyjemne wrażenie, kiedy po dłuższém wspinaniu się w górę, nagle, niespodziewanie wydobywamy się z leśnego czyśca i znajdujemy się od razu prawie u szczytu góry, zkąd z jednéj strony widzimy blizko przed sobą wspaniałe linije bezleśnéj Howerli i innych szczytów Czarnohory, z drugiéj strony za sobą już w dole niezmierzony płaszcz lasów, w którego fałdach byliśmy przez cały dzień zamknięci, a który teraz leży niejako pod naszemi nogami. Pierś długo gnieciona wilgocią i posępnością leśną odetchnęła pełno i széroko powietrzem połonin, tém pełniéj i szérzéj, że wieczorne niebo różowo nad nami świeciło, obiecując na jutro pogodę. Gdybym był rysownikiem i robił illustracye do *Bozkiéj Komedyi* Danta, to wyjście wieszcza z czyśca na wierzchołek świata odrysowałbym na tle wrażenia wówczas doznanego.

Jesteśmy tedy na Zaroślaku u stóp Howerli. Nocować możemy albo w *staji*, miészkaniu pastucha, pasącego tu latem bydło i owce, albo w kolibie, która także zawdzięcza istnienie swoje Towarzystwu tatrzańskiemu, ale niczém się nie różni od koliby zawojelskiéj. Staja, jest to rodzaj drewnianéj chałupy bez pieca i

okien, z okienkiem tylko w dachu dla wypuszczania dymu, który się podnosi z wiecznie płonącego w środku ogniska. Ale dym ten, zanim znajdzie drogę do okienka w górze, zagląda przedtém po oczu wszystkich miészkańców staji, i to jest główną przyczyną, że wolimy mokrą kolibę, jak suchą ale dymną staję.

Słońce już zaszło, kiedy się zakładamy na nocne obozowisko. Piérwszy rozkaz wydany góralom przez naszego naczelnika wyprawy brzmi:

— Rozłożyć ogień!

Przed długą kolibą, podzieloną na dwa apartamenta — o tyle do lóż podobne, że są jedną stroną otwarte ku bardzo pięknemu widokowi — na całéj długości rozpala się ogień. Skwierczą kłody mokre, ale żywiczne, i wszystko, co żyje, zabiéra się do suszenia odzienia, koców, chustek, butów itd. Przepisy towarzyskiéj przyzwoitości, obowiązujące w dolnym świecie, tu znacznym ulegają poprawkom. Nietylko wolno, ale nakazano pod surową odpowiedzialnością wszystkim mającym przemoczone obuwie zdjąć je i wysuszyć przy ogniu, bez względu na to, że podobna operacya dokonać się może w obliczu obojga płci. Grzeją się więc przy ogniu małe pończoszki obok wielkich bucisków, a z rozwieszonych koców para bucha kłębami. Następnie wysuszone koce rozścielają się w kolibie i zaczyna się uczta wieczorna, w któréj szynka, sér, kury i słonina węgierska odgrywają najważniejszą rolę, ale nic tak nie smakuje, jak w kociołku uważona herbata.

Kładziemy się spać, ale ogień ma się palić całą noc. Dobroczynny wieczorem, w nocy staje się dokuczliwym opiekunem. Naprzód od czasu do czasu pozwala sobie zakurzyć nam do koliby, powtóre zbyt nas przypieka z jednéj strony, podczas gdy z drugiéj strony owiéwa nas zimny wiatr, z łatwością przedziérający się przez iglaste poddasze. Nie chcąc się nawpół upiéc, nawpół zamrozić, wynoszę się za kolibę i tam noc przepędzam.

Słońce wschodzi, cudowny ranek rzeźwi i jak odrodzeni siadamy na konie i podjeżdżamy jeszcze trochę do samego wejścia na Howerlę. Następnie rozstajemy się z końmi, które idą inną drogą i mają na nas czekać na dalszych szczytach Czarnohory, sami zaś drapiemy się na Howerlę. Góra wysłana miękką ziemią, z pod któréj wysterczają kamienie, i porosła trawą, wśród któréj kwitną dzwonki, róża alpejska i inne kwiaty górskie; wejście strome, ale nie trudne i wcale nie straszne. W miarę wdrapywania się w górę coraz rozleglejszy otwiéra się horyzont, naturalnie tylko od strony północnéj, południowa bowiem, węgierska połowa horyzontu zakryta przed nami wypukłą piersią Howerli. Nad nami rozléwa się błękit przepysznie ozłocony słońcem, pod nami w dolinach gęste białe mgły leżą ocembrowane wyższemi wzgórzami, niby jeziora ze srébrnéj piany. Wszystko to nam po wczorajszéj posępnéj drodze tém piękniejszém się wydaje. Ale gdy słońce pali, wiatr zimny śmiga nas od północy i zdaje się podpędzać w górę. Drapiemy się bez ustanku, zdyszana pierś pracuje jak miech kowalski, a tymczasem wierzchołek, który już zdawał się być niedaleko przed nami, znów się odsuwa i zdaje się żartować z naszego zmęczenia. Prawie pod samym szczytem wytryska źródło, nazwane źródłem Dobosza, którego imię żywo dotychczas przechowuje się w tutejszych górach. Czysta jak kryształ woda zdaje się tém smaczniejszą, że straszne nas pali pragnienie; nie wolno nam jednak zaraz przytknąć ust do szklanki, i musimy przedtém zanużyć dłonie w źródle.

Pokrzepieni wspinamy się daléj do blizkiego już szczytu, i nareszcie stajemy tam, albo raczéj padamy, po półtrzeciagodzinném, wytężoném drapaniu się w górę. Kupa kamieni z palem drewnianym, wśród niéj osadzonym, oznacza granicę Węgier i Galicyi. Przed wzrokiem naszym na wszystkie strony otwiera się rozległa panorama, zapełniona górami i dolinami. Doliny

Geografii i Przestrz. Zago... Biblioteka
...agosp. PAN ... Instytut ... Exploracyi

polskie pokryte mgłami, doliny węgierskie otwarte dla oka. Po jednéj stronie mamy źródłowiska Prutu i dalszą jego dolinę, po drugiéj stronie odkrywa się przed nami wązka leśna dolina Cissy, tu biorącéj początek. Daléj ciągną się w różnych kierunkach jeden za drugim łańcuch gór, zmieniając barwy stósownie do oddalenia. Na krawędzi horyzontu w stronie południowo-wschodniéj widnieją jakieś wysokie szczyty, imponujące nam z daleka. Sąż to już Rudawy siedmiogrodzkie? czy tylko Karpaty marmarozkie? Ze wstydem nie umiemy sobie zdać sprawy.

Niebieska kopuła nad nami ciągle pogodna, ale zaludnia się mnóztwém złoconych obłoków, co jak grupy aniołów, wysoko nieruchome zawisają pod szafirowém sklepieniem. Jakby na nasze powitanie, zjawia się orzeł i pławiąc się w słoneczném powietrzu majestatycznie krąży nad nami. Przyjemnie jest pomyśléć, że jesteśmy na najwyższym szczycie (6479 stóp) prawie stumilowego łuku Lesistych Karpat, ciągnących się od Preszburga do Siedmiogrodu. Wyższe są szczyty tatrzańskie, ale Tatry jak wiadoma, stanowią zupełnie odrębną grupę karpacką.

Napasszy oczy i spełniwszy toast na cześć Howerli, ruszamy daléj wielogarbnym grzbietem Czarnohory, a zatém granicą polsko-węgierską, ciągle mając po jednéj stronie widok na Węgry, po drugiéj na Galicyą. Cieszymy się tą wspaniałą panoramą, ale po kilku zejściach i wejściach na szczyty uczuwamy silne zmęczenie; nawet nasze bohatérki zaczynają dość głośno sarkać na zbyt wytężony pochód. Tymczasem niebo zaczyna się chmurzyć od północy, Howerla po naszém odejściu w czepiec się ubiéra; na całém niebie galicyjskiem widać smugi deszczu, podczas gdy węgierska strona ciągle pogodna i uśmiechnięta. Idziemy nietylko granicą Węgier i Polski, ale i granicą pogody i deszczu, który ciągle nam grozi zagarnięciem pod swoje skrzydło. Jest to niejako allegoryczne przedsta-

wienie galicyjskiéj nędzy i węgierskiego dobrobytu. Pod Dancierzem, ostatnim na naszéj drodze szczytem pasma Czarnohory, zatrzymujemy się nareszcie dla wytchnienia, u stóp naszych rozléwa się małe, zielone jeziorko o dnie płytkiem, o wiele mniéj piękne od tatrzańskich. Deszcz grozi, trzeba śpieszyć na nocleg do staji, którą znajdziemy na górze Maryrzewskiéj Wielkiéj.

Siadamy tedy na poczciwe koniska i jedziemy. Niebawem deszcz nas zabiera pod siebie i zaczyna prażyć, ale deszcz to już znany nam szkodnik, wkrótce z czémś nowym mamy do walczenia. Oto mgła nas otacza tak gęsta, że o kilkanaście kroków już nic nie widać. W krainie, gdzie nie ma dróg ani nawet ścieżek, trudno się oryentować bez pomocy horyzontu; mamy więc nadzwyczajną łatwość zbłądzenia. Nawet nasz śmiały i żelazny naczelnik wyprawy zdaje się być nieco zaniepokojonym. Przytém bardzo łatwo pogubić się. Wołamy wzajem na siebie, ażeby jechać koń za koniem ale pokazuje się, że przestroga zapóźna, bo już ktoś się tam z tyłu zgubił. Przez kwadrans więc stoimy i pohukujemy, a wreszcie ściągnięci głosem zjawiają się marodery. Jedziemy daléj po błocie, otoczeni chmurą, która rozwięzuje się w deszcz i ten przez godzinę nas jeszcze praży, zanim się możemy po leśnych i bagnistych wertepach dostać do upragnionéj staji.

Ale ta upragniona staja jest małém piekłem, szczególnie dla tych, których oczy nie znoszą dymu. Co to jest ta staja, powiedziałem już wyżéj. Ta, do któréj teraz przybyliśmy na nocleg, jest bardzo szczupłą, a przynajmniéj taką się wydała z powodu mnóztwa fasek i naczyń mlécznych, któremi była zastawioną. Przywitał nas wielki ogień, niedaleko drzwi płonący, nad którym w wielkim kotle gotowano żętycę. Dym przyciśnięty słotą, nie miał ochoty przez okienko i wielką szparę w górze szybko się wynosić ze staji na wilgotne powietrze zewnętrzne i po wszystkich kątach się wałęsał, niemiłosiernie gryząc w oczy. Nie ma przytém

gdzie usiąść, dwie tylko krótkie i wązkie ławeczki w jednym rogu, ściany służą do tego celu. Gazda o poczciwéj twarzy, patryarchalną tchnącéj gościnnością, nie może na nieszczęście zrozumiéć naszych cierpień z powodu ognia, który jest podług niego niezbędną potrzebą, ozdobą i duszą staji. Nie śmiemy mu téż proponować, aby wyrzucił dymiącą kłodę; każdy więc radzi sobie jak może, aby jak najmniéj być trapionym od dymu. Wyjść przed staję nie można, bo deszcz pada i wielkie błoto dokoła, rozdeptane nogami bydła, którego nasz gazda koło dwustu sztuk posiada. Nie widząc innéj rady, postanawiam zawiązać sobie oczy. Wyręcza mię w tém opiekuńcza ręka jednéj ze Stanisławowianek i tak siedzę jak skazaniec, z tą tylko różnicą, że nie czekam na śmierć, ale na miskę przepysznego podśmietania.

Noc nie była tak straszną, jakeśmy sobie wyobrażali. Naprzód znalazło się więcéj ławeczek do spania dla pań, powtóre ogień, jakkolwiek całą noc się palił nie podniecany, znacznie mniéj dymu wysyłał, potrzecie posłanie nasze tj. mężczyzn, na ziemi, na świérkowych gałązkach wydało się nam po dwudniowéj wędrówce arcywygodném, a i dym, którego najmniéj było na dole, gdyśmy się położyli, zupełnie nas prawie nie dochodził. Spaliśmy więc wyśmienicie i z niepowstrzymanym zapałem rzuciliśmy się nazajutrz rano do kuleszy z masłem lub z mlékiem, którą nam panie na śniadanie przyrządziły. Kulesza należy do najznakomitszych wynalazków epoki nowożytnéj, a robi się w następujący sposób: na dwie kwarty wody bierze się kwarta grubo tartéj, niemal krupiastéj mąki kukurydzianéj, tę mąkę lekko sypać trzeba na silnie wrzącą wodę, nie mieszając jéj bynajmniéj łyżką, a kipiątkowi zostawiając tę funkcyę. Dopiéro gdy kipiątek, ująwszy wszystką mąkę, porządnie ją wymaceruje, dopiéro wtedy zbawienną jeszcze będzie interwencya łyżki, poczém dobrze jest przystawić kuleszę na chwilkę do ognia i

rzecz skończona; kulesza gotowa, proszę nabierać i jeść z masłem lub mlékiem.

Po takiem śniadaniu odjeżdżamy rzeźwo weseli. nic a nic nie czując wczorajszego zmęczenia. Jużeśmy byli na wzgórzu, kiedy nas gazda żegna salwą ze swojéj fuzyi, odpowiadamy mu na to wystrzałami z naszych dubeltówek. Ranek chłodny, pochmurny, ale bez deszczu; znów jedziemy wirchami, znowu mamy po obu stronach rozległe widoki: po lewéj ręce dolina Prutu i spływających z nim potoków po prawéj ręce lesista dolina Czarnego Czeremoszu, wśród któréj rozsiadło się Żabie. Tym zarosłym, ciemnym dolinom, po których tu i owdzie białe mgły się błąkają, popielate niebo nadaje posępny ale poetyczny koloryt. Jakkolwiek konie nasze bynajmniéj do pegazów niepodobne, coś jest przecież w téj jeździe konnéj grzbietem gór, co przypomina lot ptaka. Pierś zdaje się rozszérzać w miarę rozległości widnokręgu, na biédne konie zwalając ciężar naszego ciała, sami nie czujemy zmęczenia, a jeśli „u rąk nie mamy pierza“ to jednak wzrok puszczając po nad doliny, coś skrzydlatego czujemy w tém naszém patrzeniu z wysoka.

Jesteśmy wreszcie na Kostrzycy, żegnamy się z wirchami i po przepaścistéj drodzie zjeżdżamy lasem w dół, nad brzegi Prutu i niebawem stajemy na popas w Zawojeli. Tym sposobem opisaliśmy koło; dalsza droga z powrotem jest już znaną nam drogą leśną. Znowu deszcz pada, znowu Prut wzbiera i warczy, znów gałęzie drapią nas po głowach i zazdrośnie nam zdzierają z kapeluszy zatknięte tam kwiaty alpejskie, znów ciemno i wilgotno. Ale tym razem wieziemy w wyobraźni świéżo widziane rozległe widoki z wirchów, które nam ciemność leśną rozjaśniają, wracamy przytém z przeświadczeniem, żeśmy dopięli swego, a kołysana tą myślą ambicya pozwala nam być w jak najlepszym humorze.

Trzy dni byliśmy po za granicami wszelkiéj cywilizacyi europejskiéj, w takiéj bowiem staji, w jakiéj ostatnią noc przepędziliśmy, musieli jeszcze praojcowie nasi miészkać u stóp lub na wyżynach Paropanizu, kiedy to Indyanin z nad Gangesu i jego dzisiejszy władzca z nad Tamizy paśli razem trzody, jako rodzeni braci. To téż kiedyśmy pod wieczór przybyli do Worochty, owéj wioski, w któréj świat się zaczyna i weszliśmy do chaty jednego z naszych przewodników, schludna izba z obrazami, z porządnymi ławami, z dużym stołem i białym piecem, z którego paszczy ogień grzał i świecił, dym ognistym językiem zapędzając do komina, izba ta wydawała mi się pełnym komfortu salonem. A przecież czémże jest Worochta w obec Tatarowa, gdzie ludzie jeżdżą wozami, gdzie przechodzi trakt cesarski i gdzie jest zajazd żydowski! A znów czém jest Tatarów w obec Mikuliczyna, gdzie jest probostwo, poczta, katolicka restauracya i tylu żydów, że prawie wszyscy chłopi tutejsi siedzą w ich rękach! Jakież znowu porównanie Mikuliczyna z Delatynem, gdzie każdego dnia z wyjątkiem świąt żydowskich, można dostać cukru, kawy i wszelkich galanteryi i gdzie jest nawet tak zwane *kasyno*, to jest kręgielnia z dodatkiem piwa i gazety! Idąc daléj po téj drabinie cywilizacyi i komfortu musimy przyznać, że czém dla Mikuliczyna Delatyn, tém dla Delatyna jest Nadwórna, miasto gdzie jest prawdziwe kasyno, gdzie się urządzają bale publiczne i teatra amatorskie. Ale czémże jest cała Nadwórna ze swemi balami i teatrami w obec Stanisławowa, który ma swoją loteryę, swoją muzykę miejską, swój gaz, swoje seminarya, swoje szkoły i swoje bohatérskie Stanisłowianki? Tak, zaiste, niczém jest Nadwórna w obec Stanisławowa, a jednakże, czyż mógłbym z czystém sumnieniem utrzymywać, że już nic znaléźć nie można wyżéj w cywilizacyi stojącego od Stanisławowa. Nie, nieodważę się zapomnieć, że ponad tém wszystkiem, jako najwyższe

ognisko cywilizacyi świéci Lwów, i trudno mi wyrazić to przyjemne uczucie, które mię ogarnęło w Worochcie na myśl, że jestem obywatelem tego potężnego i wspaniałego grodu.

Kawiarnia muzułmańska.

Kawiarnie arabskie bardzo się różnią od europejskich, tak zewnętrzną postacią, jak i samém przeznaczeniem. Dom taki publiczny na Wschodzie u Arabów nie jest to pałac, nie jest to w oczy wytwornością budowy podpadający gmach, ale najwięcéj w świecie pojedyńczy budynek, któremu za godło służą kilka ławek przy wchodzie. Wewnątrz nie ujrzysz nic więcéj, jak cztéry gołe ściany, pod któremi wzdłuż na wszystkich stronach stoją nizkie kamienne lub drewniane ławy dla gości, rzadko kiedy wyściełane.

W Europie w kawiarni rzadko kiedy piją kawę, ale piją trunki wcale ani do kawy nie podobne, ani kawie nie pokrewne. Co innego u Arabów. Koran zakazuje im używać trunków powstałych przez fermentacyą, dla tego jedyna kawa daje im sposobność drażnienia nerwów. Kawa i tabaka — to dwa bogactwa muzułmanina. Bez nich żyćby on nie mógł; życie bez tych dwóch przedmiotów byłoby dla niego uciążliwém. Kawa jest u niego napojem utrzymującym świéżość i rzezkość ciała, a tabaka utrzymuje ducha jego w równowadze; ztąd Arab prosząc kogo o udzielenie mu tabaki, mówi: bracie! daj mi cokolwiek duszy!

Powiedzieliśny, że kawiarnia na Wschodzie, to dom o cztérech gołych ścianach i z dachem. To nie zupełnie prawdziwa, gdyż mamy kawiarnie o cztérech ścianach ale bez dachu, a nawet kawiarnie bez ścian i dachu. Jest to zwyczajny kominek gdzieś na otwartém miejscu, obstawiony tylko ławami.

Kominek zawsze się w kawiarni znajduje. Jest to niejako miejsce najświętsze, na którém płonie ustawicznie ogień, a kapłan tego świętego ognia — gospodarz domu — sporządza przy nim święty napój — kawę. Świécące koprowe naczynia z wodą stoją przy ogniu i syczą. Kiedy potrzeba, gospodarz bierze z nich waru pewną ilość, wléwa go w naczynie i sypie kawę. Zwykle palą tylko tyle kawy, ile potrzeba na jeden dzień, a potém ziarnka palone nie mielą lecz tłuką. Takiego utłuczonego prósza sypie się na naszę filiżankę pięć łyżeczek od kawy.

Wnijdźmy do takiéj kawiarni.

Piérwsze, na co wzrok nasz pada, jest ów kominek. Przy nim stoji poważny gospodarz *Kawedżi*, a na czole jego powaga urzędu, który z namaszczeniem sprawuje. Na ławkach i na podłodze okrytéj plecionkami siedzą skuleni, z podwiniętemi nogami, goście muzułmańscy. Jedni piją kawę, inni grają w szachy, inni kontentują się paleniem fajek, a inni i piją i palą i rozmawiają.

Wszedszy, witamy gospodarza zwyczajem wschodnim:

— Pokój wam.

— Pokój niech będzie tobie, o gościu! — odpowiada gospodarz; — witaj, cudzoziemcze i rozgość się.

Natychmiast goście inni robią dla nas miejsce.

— Daj mi filiżankę kawy, Kawedżi!

— Na głowę i oczy moje zaklinam się, o panie, zaraz!

Po téj przemowie bierze gospodarz natychmiast naczynie o długim trzonku, naléwa waru, wstawia na węgle, nasypuje kawy. Jeszcze dobrze nie usiadłeś, a już i kawa gotowa i Kawedżi ci ją przynosi. Lubo tak na prędce zrobiona, jednakże kawa ta przechodzi wszystkie odwary europejskie. Biada temu, kto ją raz tylko pił w życiu — nigdy on już się do tak zwanéj kawy w Europie nie przyzwyczaji!

Po kawie następuje palenie fajek. Palą je rozmajicie, albo ze wspólnéj fajki, albo z osobnych główek, których gospodarz posiada znaczną ilość i każdemu na żądanie przynosi. Cybuch zaś każdy z gości powinien miéć własny.

Wspólna fajka zaś jest to naczynie, pełne tabaki i zamknięte. W naczyniu tém znajduje się pełno otworów, które są zatknięte szczelnie patyczkami. Kiedy się w tabakę w naczynie nakładzie ognia, natenczas goście owe naczynie w koło obsiadają i każdy wyrwawszy patyczek, cybuch swój w otwór wkłada. Na ten sposób z jednego naczynia może kilka osób raczyć się wonnym dymem naraz.

Każdy muzułmanin pali; jednakże nie trzeba sądzić, aby w kawiarni u nich było tyle dymu, ile w naszych restauracyach. Budynek jest obszerny, a czasem, jak wiémy bez dachu, a nawet bez ścian i dachu, dla tego dym ma miejsce do rozejścia, a przytém otwartemi oknami uchodzi. Daléj dym tabaki na wschodzie różni się wielce od naszych ćwiklanych i kapuścianych liści fabrykowanych drogich cygar. Zapach najlepszych cygar europejskich nie wyrówna w aromacie najgorszym odchodom tabaki w tamtejszych stronach.

Turcy, Arabowie i wszystkie im pokrewne narody należą do największych flegmatyków na całym świecie. Trzeba już znacznego impulsu, aby ich wydobyć z odrętwienia. Ztąd téż pokój, jaki panuje w kawiarniach, zadziwi każdego Europejczyka, przyzwyczajonego do hałaśliwego i zgiełkliwego życia w naszych kawiarniach i restauracyach. Prawda, że i alkoholiczne napoje w Europie znacznie się przyczyniają do rozwiązania języka; na Wschodzie zaś tak całkowite nieużywanie alkoholu jako i wrodzona flegma krajowców do tym większego spokoju pobudza.

Są jednak chwile, dnie, kiedy życie w kawiarni staje się ruchliwszém. Dzieje się to mianowicie w miesiącu *Ramazan*. Cały ten bowiém miesiąc jest usta-

wicznym postem, ale tylko we dnie. Skoro słońce wychyli się na wschodniéj stronie nieba po nad powiérzchnię ziemi, strzał armatni daje znak, że odtąd nic w usta wziąść nie wolno! aż dopiéro wieczorem, kiedy słońce najskrajniejszą krawędź swego koła ukryło pod ziemię, znów strzał armatni ogłasza, że wolno się posilić. Tak dzieje się przez cały miesiąc.

Trzeba zaiste silnéj wiary, aby można takie udręczenia ciała znieść bez szemrania. A jednakże muzułmanie znoszą głód cierpliwie, a nawet tak daleko posuwają owe ascetyczne ćwiczenia, że muzułmanin poczytałby sobie za grzéch, gdyby miał chociaż przez nieuwagę połknąć ślinę, albo zgryść słomkę. Nawet bronią się w ustach palcem poruszyć, aby przez to gruczołów ślinowych nie pobudzić do wydzielania śliny.

Kiedy się zbliża wieczór mający ich wyswobodzić z męczarni dziennych, natenczas całemi gromadami zbiérają się do kawiarni. Zwolna zbliżają się poważne postacie, a na ich twarzach można wyczytać owo religijne namaszczenie, które muzułmanie tak przybrać umieją. Chód ich jest słaby i chwiejący się, rzekłbyś, że upadną. Wszyscy zasiadają ławy przed kawiarnią a ci, co się przed kawiarnią nie zmieścili, wchodzą do wnętrza. Fajki już ponakładane, na kominie ogień się pali, woda wre i syczy, a wierni z westchnieniem spoglądają na zachodnią część nieba i z niecierpliwością liczą minuty do zachodu słońca.

Słońce już spodnią krawędzią dotknęło ziemi — szmér się rozlega, Kawedżi wybiega, spogląda na słońce, a przekonawszy się o prawdzie, stawia na ogień mnóztwo rynek z trzonkami i sypie prósze kawowe. Wierni jeszcze się nie ruszają. Słońce zwolna — bardzo wolno się spuszcza; jeszcza raz drgnęło i znikło, a w téj też chwili strzał armatni jak iskra elektryczna przeszył rozradowane serca muzułmanów.

Zelektryzowani wystrzałem zrywają się wszyscy na równe nogi i wszystkie usta wykrzykują: Ałłah!

Ałłah! Wszyscy cisną się do kawiarni, a już téż i Krawedżi, mając ku pomocy jednego lub dwóch z usłużnych gości, roznosi aromatyczną kawę we filiżankach. Teraz można nałogi ich jak najwygodniéj studiować; nałogowi fajczarze chwytają wpiérw za fajkę, kawiarze za kawę, a poważni odwilżają wprzódy wyschłe usta i gardła wodą, stojącą w naczyniach przeznaczonych ku temu celowi. Chwilę potém głucha następuje cisza, przerywana tylko odgłosem, które usta sprawiają przy wciąganiu napoju. Rozmowa jeszcze nie nastąpiła, bo wszyscy zajęci pokrzepianiem swych wątłych sił. Coraz jednakże więcéj słów gardłowych wydobywa się z poważnych muzułmanów i niedługo całe towarzystwa pogrążone w ogólnéj rozmowie. Nie słychać słów pojedyńczych tylko jednostajny gwar, szum i brzęczenie niby w ulu.

Nagle, jakby za uderzeniem laski czarodziejskiéj, rozmowa ustaje — tu i tam jeszcze jakie słowo niebacznie wyrywa się z piersi, ale jakby przestraszone, umilka i zamiéra. Jakiś poważny, nowy gość wchodzi, pozdrawia na około, a zwróciwszy się do gospodarza mówi:

— Kawedżi, filiżankę kawy!

Gospodarz w kwiecistéj odpowiedzi ukazuje swe uszanowanie, mówiąc do gościa:

— Na głowę ojca mego, zaraz, o błogosławiony! o słodkousty!

Gość z powagą pije kawę, a potém rozpoczyna mówić — nikt mu nie przerywa, wszystko milczy i chciwy każde słowo chwyta, czasem tylko wyrywa się komu półgłośne słowo: Ałłah Kerim! (Bóg jest wielki.)

Gościem owym jest *derwisz*, a prawi on słowa ze świętego Koranu.

Inną razą zamiast derwisza niespodzianie zjawia się narodowy wieszcz, który z pamięci prawi im opowieści o bohatérach starodawnych, albo czytuje pieśni sławiące Ałłaha i jego proroka.

Na ten sposób kawiarnie dają muzułmanom sposobność nietylko pokrzepić swe ciało, ale i wznoszą jego ducha, stając się niejako drugim meczetem gdzie derwisze i imamy opowiadają im najciekawsze ustępy z Koranu, albo też narodowi wieszcze i poeci natchnienia swe przy filiżance kawy wygłaszają lub dawne opowieści i legendy w pamięci słuchaczów odświéżają.

Handel Murzynami.

Już w najodleglejszéj starożytności napotykamy na niewolę i niewolników. Byli to zwyczajnie jeńcy wojenni. Późniéj i bez wojny mógł człowiek popaść w niewolę, bądźto jeśli się zadłużył, bądź też za przestępstwa.

Właściwa niedola, o któréj tu mówić mamy, powstała dopiéro po odkryciu Indyi Zachodnich. Rozpoczęto uprawę mianowicie trzciny cukrowéj, do któréj to uprawy potrzeba było wielkie mnóztwo rąk. W Ameryce rąk brakło. Indyjanie nie dali się do pracy użyć; każdy wolny Indyjanin wolał umrzéć, aniżeli stracić wolność; niewola dla niego śmiercią.

Zwrócono tedy oczy swe na Afrykę. Całą północno-zachodnią jéj część aż do południowego zwrotnika zamiészkuje szczep Murzynów. Kolor ich skóry jest zupełnie czarny, usta mają wypukłe, a włosy krótkie i kędzierzawe, mające podobieństwo do czarnéj wełny. Jest to lud dobroduszny, pracowity, wytrzymały na trudy wszelkiego rodzaju. Umysłowe ich zdolności nie wyrównają wprawdzie zupełnie europejskim, jednakże i tu trafiają się uzdolnieni. Ten więc lud musiał dostarczyć robotników amerykańskim przedsiębiorcom i plantatorom. Wysyłano tedy okręty aż do Afryki, gdzie, siłą albo postępem chwytano bardzo wielu tych nieszczęśliwych, zawożono do Ameryki, mianowicie do Brazylii, i tu ich jak bydło sprzedawano.

Nawet w saméj Afryce potworzyły się rozbójnicze państewka, prowadzące ustawiczną wojnę ze szczepami pobratymczemi i chwytające każdego, kogo im się udało złapać. Tych wszystkich przechowywano w pewnych ku temu celowi zbudowanych domach lub ogrodzonych miejscach, aby potém przybywającym okrętom europejskim sprzedać za byle co np. lusterko, nożyk, proch, itd.

Murzynów wprowadzają w niewolę dwiema drogami, lądem do Turcyi, małéj Azyi i innych krajów, a morzem do Ameryki.

Przypatrzmy się transportowi lądowemu.

Arabowie, z drugiéj strony Atlasu, ustawicznie napadają na szczepy Murzynów, a nawet krajowi naczelnicy murzyńscy z wielkiemi siłami napadają na sąsiednie szczepy, i częstokroć całe wioski zabierają do niewoli. Zwykle napadający tworzą małe stacye. Cała siła wyruszywszy z miejsca, nie dochodzi do saméj wioski, która ma być złupiona, ale oddziałami pozostaje w tyle. Ci, którzy dójdą do saméj wioski, odsyłają brańców do piérwszéj stacyi, ta stacya odsyła ich następnéj i tak daléj. Koniecznem to jest, gdyż na ten sposób nigdy brańców nie znajduje się na stacyi tyle, aby mogli myśléć o buncie, a wrazie gdy przyjdzie im odsiecz, to tylko chyba jednę lub dwie stacye odbić i uwolnić zdoła. Na ten sposób setki niewolnika dostają się w ręce łupiezców. Rabusie naturalnie zabierają nie tylko ludzi, młodych i starych, dzieci i kobiéty, ale i nie gardzą wszystkim, co im pod oczy podpadnie, unosząc ze sobą jako zdobycz. Czwarta część z łupu należy się dowódzcy, każdy zaś pieszy wojownik dostaje jednego, a konny dwóch jeńców.

Tacy jeńcy są teraz pożałowania godni. Los ich okropny staje się jeszcze okropnieszym wskutek złego obchodzenia się z nimi. Niedostatek pożywienia i wody jest jeszcze najmniejszem złém. Zwykle dla odebrania im sposobności do ucieczki przywięzują wszystkich

głowami do jednéj deski. Deska ta ma pewną ilość otworów, przez które głowa Murzyna ledwo się przeciśnie. Tak tedy wcisnąwszy głowy kilkunastom Murzynom, wiążą im prócz tego ręce, a tak zmuszeni są zawsze stać lub chodzić prosto, nie mogąc deski, owego srogiego jarzma, za szyi swéj zrzucić. Samo się przez się rozumié, że owa deska jest prócz tego jeszcze do ciała każdego pojedyńczego Murzyna sznurami mocno przywiązaną.

Kiedy już mają odpowiednią ilość niewolnika natenczas rozpoczyna się okropna podróż przez pustynie piaszczyste na miejsce przeznaczenia. Transport ten jest o wiele straszniejszym dla biédnych Murzynów aniżeli wszystko poprzednie i następne. Podroż trwa czasem do stu dni, a wśród niéj wielka liczba umiéra ze znużenia, z głodu, z przeziębienia i spragnienia. Dnie na pustyni są tak gorące, iż zdaje się, że niebo żarem sypie na ziemię, a tymczasem noce znowu zimne. Nie ma tam przejścia pomiędzy dniem a nocą, ale po dniu następuje bezpośrednio noc, ponieważ w rzadkiéj atmosferze promienie słońca łamać się nie mogą. Nagła jednak ta zmiana temperatury nieprzyzwyczajonym do tego miészkańcom stref podrównikowych staje się zabijającą.

Okrutni i bez serca ludzie prowadzący transport niewolników, pozostawiają bez litości starców, kobiéty i dzieci, które za karawaną zdążyć nie mogą, a często czynią sobie igraszkę, rzucając dzieci murzyńskie szakalom na pożarcie.

Po ukończeniu podróży zdarzają się teraz sceny, które opisać trudno. Dotychczas były rodziny jeszcze ze sobą, ale teraz wystawieni na handel, koniecznie muszą się rozłączyć, gdyż nikt całéj rodziny nie zakupi, tylko pojedyńcze osoby, według upodobania i potrzeby. Niektórzy chwytają się w objęcia i nie chcą się dać rozłączyć tak, że mieczem trzeba ich rozganiać; inni chwytają się drzewa i nie dawają się o-

derwać, chyba dopiéro gdy ich tak długo batami biją, póki omdleni nie upadną. Wreszcie zbici, zlani krwią poddawają się swemu losowi. Czasami ojciec tak silnie przyciśnie swe dziécię do siebie, że chyba tylko trupa od niego oderwą, a czasem po nieludzkiém katowaniu znajdują i ojca i dziécię.... trupami.

Inaczéj dzieje się z niewolnikami przeznaczonemi do Ameryki. Niewolnicy już zwykle zgromadzeni w przeznaczonych do tego miejscach, czekają tylko na okręt przewozowy. Nikt jeszcze z przewiezionych do Ameryki nie wrócił; dla tego między Murzynami panuje powszechne mniemanie, że Europejczycy Murzynów wywożą na pożarcie.

Skoro okręt przybędzie, wychodzi pan niewolników naprzeciw kapitanowi okrętu i powiada mu ile ma niewolnika. Umawiają cenę, którą kapitan wypłaca. Zwykle nie płaci się pieniędzmi, lecz towarami. Lusterka, noże, stare flinty, ubiory często już na nic nie przydatne — oto cena czasem za kilka czarnych ludzi. Następuje teraz operacya konieczna. Murzyni przywiezieni do Ameryki dostają bardzo często ospy, dla tego taki niewolnik, który nie ma na sobie znaków ospowych jest tani, a czasem nikt go nawet nie chce kupić. Dla tego rozpalają stósownie urządzone żelaza i wypalają nieszczęśliwym na całym ciele znaki podobne do tych jakie ospa pozostawia.

Teraz wsadzają ich na łodzie i odworzą do okrętów. Nieszczęśliwi nie bronią się ponieważ są skuci, i nie mogą się nawet bronić, bo są więcéj umarli aniżeli żywi. Niektórzy padają, i tak zemdlonych trzeba zanosić. Na okręcie zaś wszystkich na spodzie przykuwają rzędami do łańcucha, albo do wielkiéj kłody.

Przypatrzmy się takiemu okrętowi.

Jest to okręt trzymasztowy, obejmujący do 350 beczek ładunku, ogromny, ciężki, brudny, smrodliwy; jego liny źle przymocowane, jego maszty upstrzone tysiącznemi kolorami, jego pomost zbłocony. Z każdéj

strony ma po cztéry ciężkie działa, a pomiędzy ar. ma-tami suszą się na słońcu żółte masy szérokiemi nazn. a-czone plamami krwi i przylgniętemi do nich włosam i czarnemi kędzierzawemi. Pomost jest nizki — pod nim brak świéżego powietrza; przytém nierówny jest dla nóg, a niebezpieczny dla głowy, albowiem o grube na-główki i o silne żelazne ogniwa, przymocowane do łę-ków śrubami, można się czołem straszliwie uderzyć. Tu śpi dwunastu lub dwudziestu majtków, obwiniętych w cuchnące kołdry, zawieszone w brudnych i podartych hamakach. Majtkowie ci — to jest tłuszcza włóczę-gów i złoczyńców zebranych ze wszystkich krajów kuli ziemskiéj.

Na spodzie okrętu wszystko jest symetrycznie u-stawione i starannie upakowane. Ogromny drąg że-lezny, dobrze i silnie przymocowany do boków i obicia statku, jest opatrzony ogniwami zupełnie wygodnemi do przytrzymania nogi. Nigdy światło nie dochodzi do tego lochu, a powietrze tam zabijające. Raz lub dwa razy na godzinę kapitan, czy téż porucznik okrętowy, majster lub podmajstrzy, uzbrojony długim, węzłowatem rzemieniem, wchodzi do téj smrodliwéj otchłani, i prze-gląda łańcuchy. Jeżeli dostrzeże usiłowanie uwolnie-nia się, albo przynajmniéj poweźmie chociaż najmniejsze podejrzenie, albo wreszcie... kiedy mu się tak podoba natenczas rzemień świszczy w powietrzu, a uda, tył i plecy nieszczęśliwego okrywają się czerwonemi krwiste-mi kresami, z których krew' potokiem spływa na sąsiada.

Przypatrzmy się obiadowi tych nieszczęśliwych. Chociaż to Murzyni i niewolnicy, jednakże jeść muszą aby żyć. Zwykle dostają każdy z nich po garści mąki manioku, a za napój cuchnącéj, zgniłéj wody. Ceremo-nia taka odbywa się dwa razy na dzień. Niektórzy kapitanowie dają Murzynom w czasie przewozu strawę gotowaną. Wielka wanna jest wspólną misą, w około któréj Murzyni zasiadają z łyżkami w ręku. Aby teraz

jeden Murzyn nie jadł więcéj nad wyznaczoną ilość łyżek, panuje na takim okręcie szatański zwyczaj, że Murzyni jedzą na komendę. Na dany znak kładą wszyscy łyżki w jadło, na dany znów znak kładą łyżki w usta i dopiéro na nowy znak odejmują je od ust, aby na nowo zanurzyć je w brudnéj strawie. Biada temu kto się zmyli!

Po obiedzie odbywa się przechadzka tych istót po pokładzie, a nawet dla przyśpieszenia cyrkulacyi krwi muszą oni tańczyć czas niejaki; kto nie ma ochoty, kto nie chce z dobréj woli, ten wnet uczuje na ciele ów węzłowaty rzemień, a tak, czego nie chciał uczynić z dobréj woli, to czyni z bólu.

Sama niewola nie jest jeszcze taką męczarnią, jak przewóz. Pan, kupiwszy niewolnika, musi go już dla tego samego oszczędzać, że kosztuje pieniądze. Nie trzeba jednakże myśléć, aby się z niewolnikiem tak jeszcze obchodzono, jak u nas z wołem lub koniem; bynajmniéj, niewolnik bowiem jest tańszy. Jednakże panu zawsze zależy na tém, aby swego niewolnika utrzymać tak przy życiu jak i sile. Co innego zaś na okręcie; kapitanowi zwykle nic na tém nie zależy, czy przywiezie więcéj lub mniéj, lub wcale nic, albowiem zapłatę bierze od przedsiębiorców stałą. Ztąd téż wielkie mnóztwo tych nieszczęśliwych umiéra na okręcie.

Jak tylko sapanie i chrapianie daje znak, że jeden z więźniów kona, natychmiast go rozkuwają, obwięzują mu sznur wkoło pasa i wyciągają go z lochu, jak kawał drewna. Kładą go na jednę z owych żółtych plecionek i pozostawiają na pomoście. Po udzieleniu tego piérwszego ratunku, kołysanie okrętu przerzuca to w tę, to w owę stronę czarne widmo, które się wije z boleści, lub téż leży nieczułe. Jeżeli ono wtenczas majtkowi zawadza na drodze, to odpycha je nogą i odsuwa na piérwotne miejsce. W kwadrans późniéj załoga okrętowa z ciekawością, pochylając się nad przepaścią, przypatru-

je się pogwizdując, jak rekin pochwyci wrzuconego we wodę trupa, a czasem jeszcze drgające ciało.

Handlowi owemu położyła wreszcie koniec Anglija, robiąc wielkie polowania na morzu na okręty przewożące Murzynów i wieszając bez litości wszystkich, których przy przewozie złapano. Ztąd nieraz się zdarzało, że okręt ścigany, aby uniknąć pogoni, musiał wszystkich Murzynów wyrzucić w morze.

Jak się obchodzili handlarze Murzynów z niewolnikami, o tém dowiémy się z następującego opowiadania kapitana okrętu, który się trudnił tym odrażającym handlem.

Oto są jego słowa:

„Miałem statek zawiérający 300 beczek, a dość silny, aby stawić opór i najmocniejszym burzom, przy tém zaś był tak lekki i zdatny do kierowania, że z najszybciejszemi okrętami amerykańskiemi mógł śmiało iść w zawody. Udało mi się samemu jednemu wylądować na wybrzeżu afrykańskiém i zaraz rozpocząłem układy z pewnym dość ucywilizowanym naczelnikiem szczepu krajowców. Przybył on w towarzystwie dwudziestu „czarnych“ i po oddaniu mi honorów, na jakie tylko mógł się zdobyć, oświadczył swą gotowość dostawienia mi kilkuset niewolników.

Nazajutrz rychło zebrali się moji ludzie okrętowi pod rozłożystém drzewem kokosowém i rozłożyli przed sobą trzy worki piastrów, dwa tuziny flint i tyleż pistoletów, kilka wiązek starych szabli, sztyletów i noży, kilka sądków wódki i trzy kufry z miedzianemi, żelaznemi i szklanemi drobnostkami i świécidełkami.

Skoro naczelnik zobaczył przedmioty sobie ofiarowane, ucieszył się mocno, i wkrótce stanęła ugoda, że mi za owe piastry i towary dostawi 260 niewolników w przeciągu pięciu dni. Po téj ugodzie udałem się na okręt.

Piątego dnia rano udałem się znowu na ląd, gdzie mnie król téż ze swym dworem już oczekiwał. Usie-

dliśmy na plecionkach i poczęliśmy palić z fajki o pięciu cybuchach. Podczas tego przyprowadzono „czarnych“. Jednych gnano parami do siebie przywiązanych, innych mniejszemi oddziałami, mających tylko ręce przywiązane do bioder, a innych wreszcie po dwunastu za szyje powiązanych do deski, przez którą głowy przetknąć musieli; innych wreszcie dźwigających na ramieniu długą belkę, do któréj byli przywiązani.

Kiedy ich przyprowadzono, rozwięzywąno jednego po drugim po kolei celem rewizyi, którą wykonywał mój lékarz okrętowy. Rewizya taka polega na tém, że niewolnik musi poruszać rękami, nogami przybiérać rozmaite pozycye, kłaść się na ziemię i szybko z niéj powstawać, a wreszcie musi pokazać zęby, po których najprędzéj o zdrowiu Murzyna przekonać się można, wreszcie i dla tego, że nieraz jeńcy pod językiem przechowują truciznę, aby się późniéj na swych panach zemścić.

Uznani za zdatnych, jeńcy przechodzili zaraz w ręce moich majtków, którzy im dla poznania wypalali gorącém żelazem znak na ramieniu, a potém linami gnali do łodzi i zawozili na okręt.

Skoro tylko znajdowali się wszyscy na okręcie, natychmiast odpływałem. Podczas podróży zawsze panowała jednostajna reguła. O godzinie ósméj z rana wychodzili wszyscy ze spodu okrętu na pokład, pojedyńczo lub parami, wolno lub związani, stósownie do ich charakteru. Wtedy zwykle lékarz ich rewidował. Następnie stawiano ich przy wielkiéj misie z ryżem; każdy z misy dostawał łyżkę, i aby żarłok mniéj łakomemu jego porcyi nie uszczuplił, sygnałami regulowano ich ruchy. Na piérwszy znak wszyscy naraz zanurzali łyżki w ryżu, na drugi znak wydobywali je napełnione, a na trzeci zanosili do ust. To powtarzało się przez cały przeciąg karmienia.

Obiad i wieczerza odbywały się na ten sam sposób, z wyjątkiem, że do ryżu dawano mąki kukurudzowéj i wléwano w niego pewną ilość wódki albo araku,

aby go uczynić pożywniejszym. Po każdéj zaś uczcie następowały ćwiczenia ciała, mające na celu przyśpieszenie trawienia. Na przodzie okrętu grała muzyka murzyńska na rodzaju skrzypiec o jednéj strunie i wybijała takt na bębnie zwanym *tam-tam*. Reszta musiała po téj muzyce tańczyć. Wszyscy skakali, tańczyli i kręcili się, póki im sił starczyło, a jeśli znalazło się kilku leniwców, to bat i rzemień dodawały im natychmiast ochoty. Ten bal trwał wieczorem przez dwie godziny.

Skoro się bal zakończył, wtedy czarni schodzili na spód okrętu; część majtków udawała się do nich na straże, a w nocy tak było spokojnie na okręcie, że nic więcéj nie było słychać, jak trzeszczenie masztów i lin i pluskanie fali o boki okrętowe. Tylko gdy wiatr zerwał się gwałtownie, gdy wały biły wysokie, a okręt mocno się kołysał, natenczas dochodził mnie z dołu coraz bardziéj wzmagający się szum, szelest, a wreszcie wrzask moich jeńców, którym każdy uderzający bałwan o okręt wyciskał z piersi mocniejsze jęki. Zresztą podróż moja odbyła się bez żadnego wypadku, z wyjątkiem, że dwudziestu „czarnych“ musiałem kazać siéc do krwi rzemieniami, ponieważ miałem ich w podejrzeniu wzniecenia buntu.

Wylądowałem z moją zdobyczą szczęśliwie, bez wielkich strat, a kiedy za nię dostałem 3000 dukatów natenczas i jakieś niemiłe uczucie, które zdaje się, że mi sumnienie czyniło, poszło z dymem cygara i utonęło we winie.“

Epizod z życia osadnika na Kaplandzie.

Wiele podejmowałem przedsięwzięć, ale żadne mi się nie udawało; zapewna tajemnica mego niepowodzenia na tém polegała, że wiele rodzajów zatrudnień przedsiębrałem, a żadnego nie zrozumiałem gruntownie. Niech będzie jak chce, koniec końcem — zubożałem do szczę-

tu, a wreszcie nie pozostawało mi nic więcéj, jak skłonić się do wychodźtwa. Że *Kap**) natenczas obiecywał wielkie korzyści, dla tego udałem się tam dotąd. Rząd nadał mi, jak nazywał, piękną *farmę*, ale którą gdy objąłem, uznałem ją tylko za kawał dzikiéj puszczy, jeszcze ręką człowieka cywilizowanego nie dotkniętéj. Tutaj sprawności mojéj szérokie otworzyło się pole. Przy pomocy kilku Hotentotów udało mi się niedługo zbudować dom i założyć ogród. Owiec i wołów trzeba było zakupić; nabyłem ich jednakże tyle, że mogłem pastwiska do mnie należące zapełnić bydełkiem ze śnieżną wełną i pstrokatemi krówkami. Po dwóch latach mogłem już wypocząć pod cieniem winorośli i drzéw figowych, których sploty i gałęzie już się rozszérzać poczęły.

W całym tym czasie nigdy nie miałem cały dzień święta, a i takich dni było bardzo mało, w których przez pół mogłem świętować. Pewnego razu przybyło do mnie dwóch sąsiadów i zaprosili mnie na wielkie polowanie w puszczy. Z radością chłopca szkólnego, wyjeżdżającego na ferye, przyjąłem owo zaproszenie. Ponieważ moja osada leżała najbliżéj granicy, dla tego towarzysze moji już poprzedniéj nocy przyjechali po mnie. Ledwo zaświtało, ruszyliśmy konno do miejsca zbornego, odległego od nas na 30 mil angielskich.

Z początku jechaliśmy ścieżkami cienistymi, otoczonemi wonnym jaśminem, pomiędzy którym się wiły szkarłatowe wiązki geranii i kwitnące wawrzyny. Następnie droga prowadziła przez szémrzące strumyki, przez skaliste parowy, na których setki małp swarliwych i miałczących skakało z kamienia na kamień, rzucając na nas gałązkami i żwirem. Wreszcie wyjechaliśmy na obszérny, trawiasty step. Świéżością poranną pokrze-

---

*) *Kap* nazywa się najwięcéj na południe wysunięty kraniec Afryki. Kapland, jest to rozległa ziemia kraina, należąca do Anglików. Miészkańcy są bądź to Europejczycy, bądź to piérwotni, jako to Kafry, Hotentoci i inni.

pieni, sadziliśmy pod bezobłoczném niebem przez kwiecistą pustynią, a tylko tu i tam czarne postacie samotnych bawołów lub pasących się *gnu* okazywały się zdaleka, albo zrywały się pary wystraszonych strusiów.

Już przebyliśmy około dwie trzecie drogi, gdyśmy przybyli w okolicę zarosłą gromadami drzéw, pełną wysokiéj trawy, a w któréj mianowicie wielkie mnóztwo znajdowało się kwiatów. Pomiędzy kwiatami zobaczyłem roślinę z gatunku liliji, jeszcze mi nieznanéj, niezwykłéj wielkości i o pięknych śnieżnych kwiatach; chciałem koniecznie dostać cebulkowatego jéj korzenia. Zeszedłem dla tego z konia, zarzuciłem mu cugle na kark, położyłem flintę na ziemi, a podczas kiedy moji towarzysze naprzód jechali, zacząłem zdobycz moję wygrzebywać. Gdy więc tak śpiesznie ziemię rozkopywałem, spostrzegłem, że trawa w blizkości mnie lekko się porusza, co nie mogło być skutkiem wiatru. Wytrzeszczyłem oczy, i widzę, że poruszanie staje się coraz wyraźniejszém. W momencie, jednym zamachem podniósł się przedemną straszliwy wąż z ognistém okiem i napuszoną głową, a z otwartéj jego paszczęki wydobywało się owo przerażające syczenie, którego nikt zapomnieć nie może, skoro je raz usłyszał.

Jeszcze klęczałem na ziemi, nie wiém, czy parę chwil lub minut — mnie się one zdawały godzinami. Wąż i ja wyglądaliśmy jak dwa kamienne posągi z wytrzeszczonemi na się oczyma; serce moje stanęło, a oko ustawicznie przykute było do potworu, jakby zaczarowane. Krew' we mnie zakrzepła, a mróz śmiertelny stężył wszystkie me członki, i zdawało się, że jak sparaliżowany nie ruszam się i poddaję się memu losowi. Wreszcie odzyskałem przytomność, a z nią poznałem i wielkość mego niebezpieczeństwa. Z przeraźliwym okrzykiem, który nawet pewnie przeraził i potwór, zerwałem się ze ziemi i jak szalony uciekałem po płaszczyźnie.

Okrzyk mój trwogi sprowadził do mnie towarzyszów, ale nim ci dojechali, rozległ się drugi okrzyk bojaźni i rozpaczy — wydał go mój nieszczęśliwy rumak, którego znaleźliśmy wijącym się na ziemi w splotach strasznego węża. W momencie trzy kule przeszyły cielsko węża *Cobra*, po nich następne trzy kule, a potém skoczyliśmy koniowi na ratunek, aby go uwolnić z objęć srogiego nieprzyjaciela.

Niestety! wąż ugryzł nieszczęśliwe zwiérzę we wargi i nim mogliśmy mu dać jakikolwiek ratunek, już trucizna działać poczęła, a koń wił i rzucał się po ziemi w konwulsyach śmiertelnych, na które zgroza było patrzéć. W bolesném milczeniu stałem obok i przypatrywałem się, jak życie mego wiernego i posłusznego zwiérzęcia w bólach znikało. Nieraz nosił mnie on w ciemnośaiach, w burzach, w skwarze i wśród innych przeciwności, — a nawet dzisiaj umiéra śmiercią, która właściwie mojim miała być losem. Dreszcz mnie przejął na myśl ostatnią i na przerażający widok, a serce moje napełniło się wdzięcznością ku Temu, który mnie uchronił od podobnego losu.

Wreszcie zwiérzę zakończyło, wydało ostatnie tchnienie i pozbyło się męczarni. Śmierć jego napełniła mnie żałością; był to smutny wypadek, który mi całą przyjemność zabawy na polowaniu zaprawił goryczą, i gdyby to było w méj mocy, natychmiast wróciłbym się był do domu. Przyjaciele jednakże nie chcieli nic o tém wiedziéć, a ja nie mając konia, sam pieszo tak daleko puścić się nie mogłem, dla tego zdecydowałem się iść z nimi, spodziewając się, że na miejscu zebrania zapewne i konia jakiego dostanę. Nim jeszcze mieliśmy odéjść, postanowili towarzysze moji węża zmierzyć; dla tego wyciągnęli go w całéj jego długości. Podczas tego dało się słyszéć jakieś ciche przytłumione jęczenie. Ponieważ ostatnie zdarzenie z wężem nerwy nasze bardzo rozdraźniło, dla tego na ten odgłos zerwaliśmy się przerażeni, z obawy, że inny jaki wąż nam zagraża.

Jednakże nic nie dało się widzieć. Ale w tym momencie dał się znowu w blizkiéj krzewinie słyszéć jęk bolesny. Ponieważ sądziliśmy, że w blizkości znajduje się jakie ranne zwiérzę, dla tego ostróżnie robiliśmy swoje poszukiwania, aby czasem nie wystawić się na powitanie kłami lub pazurami. W koło już za pomocą flint wszystko przeszukaliśmy, ale nadaremna; aż dopiéro jeden z mych towarzyszów przyklęknąwszy, wydał krzyk radości i z pomiędzy korzeni wyciągnął na powiérzchnią postać silnie zbudowanego *Kafra*. Zdawało się, że biédak był bez przytomności skutkiem pchnięcia nożem w bok i uderzeniem maczugi w głowę. Natychmiast zatamowaliśmy mu krew' i obandażowaliśmy rany, a gdy już przyszedł dostatecznie do przytomności, zapytaliśmy się go pół po holendersku, pół po kafersku, o przyczynę jego nieszczęścia.

Ranny opowiedział nam, że przy wyprawie rozbójniczéj na osady europejskie rozgniéwał naczelnika, którego pokaléczył. Skończywszy swe opowiadanie, przybrał wyraz twarzy tak zemstą pałający, że twarz jego czarna pokrzywiła się; ulegając téż swéj zemście, powiedział nam, że jeśli się pośpieszymy, to jeszcze *Katanora*, naczelnika Kafrów zbójeckich, dognać możemy, nim dojdzie do *doliny białych liliji*.

Okrzyk trwogi i przerażenia wyrwał się z moich piersi, a boleść ścisnęła mi serce; jakby mnie kto sztyletem przeszył: — *dolina białych liliji*, to moje miészkanie, to moja zagroda, w któréj pozostawiłem żonę i kilkoro dziatek! Szaleństwo mnie pobiérało na myśl, że może w téj chwili nad drogiemi mi osobami znęca się dziki rozbójnik. Bez namysłu, nie wiedząc, co czynię, uchwyciłem za cugle piérwszego lepszego konia i w momencie siedziałem w siodle. Przyjaciele moji jednakże schwycili konia, a mnie samego zsadzili na powrót na ziemię. Po krótkiéj naradzie postanowiliśmy, aby jeden z nas czémprędzéj udał się do stacyi wojskowéj po pomoc zbrojną, aby drugi pieszo pobiegł na miejsce

zebrania się strzelców i ich zawezwał do obrony, a ja, abym natychmiast jechał bronić tych, których bronić byłem zobowiązany.

Jak wiatr pędziłem przez stepy, nie dając się wstrzymać ani strumieniami, ani żadnemi innemi zaporami. Mijałem skały, koń sadził przez wzgórza i kopce termitów, aż wreszcie wieczorem przybyłem przed potok bystry, który przebyć musiałem koniecznie. Nim jeszcze do niego dojechałem, usłyszałem szum i szelest, który w méj wyobraźni rozgorączkowanéj wydawał się szczękiem broni i głosami ludzkiemi. Nie! nie był to szczęk broni, ale szum wód rozhukanego potoku. Takie potoki górskie często nagle wzbiérają i na czas niejaki z przerażającym hukiem, szumem i siłą rzucają swe wody z góry na dół. Biada! ktoby się odważył puścić się w pław; zginie bez ratunku. Przyczyną tego są jeziora w górach, dające takim potokom istnienie. Kiedy ściana tamująca wody jeziora w górach się rozerwie, natenczas wody z nieopisaną siłą rzucają się na dół, bałwaniąc się, szumiąc i niszcząc wszystko, co im zawadza.

Właśnie natrafiłem na taką chwilę.

W piérwszym momencie chciałem się rzucić w odmęty, ale na szczęście nie byłem jeszcze tyle szalony, aby nie rozważyć, że śmierć moja w nurtach potoku drogim mi osobom na nicby się nie przydała. Z drugiéj strony widziałem, że pomiędzy mną, a moją zagrodą stanęła zapora, któréj na razie przebyć nie było podobieństwem. Głowa mi się paliła, a świat zdawał się kołem tańczyć przedemną. Jedyną moją nadzieją było, że może pomoc wojskowa zdoła rozbójnikom przebiédz drogę, i wymordowaniu mojéj familiji zapobiédz.

Kilka godzin nocy przepędziłem ponad potokiem, pilnie bacząc, czy czasem wezbranie potoku się nie zmniejsza, to znów spoglądałem w górę, czy nie ujrzę złowieszczego znaku pożaru. Niczego jednak nie mógłem dojrzéć, tylko słychać było śmiéch hyeny, wycie szakali i ryk lampartów.

Polt. Geograficzne BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Wreszcie dzień zaczął się rozjaśniać. Potok jeszcze szumiał i ryczał — niepodobieństwem było się rzucić w odmęty, i tak w owych moralnych męczarniach musiałem przebyć jeszcze dzień cały, nim zdołałem spostrzédz niejakie uspokojenie się potoku. Zresztą i tak byłbym dłużéj nie wytrzymał, gdyż widocznie szał zaczął zmysły moje ogarniać. Wspiąłem tedy konia i wziąwszy Boga na pomoc, rzuciłem się w szumiący i ryczący bałwan.

W piérwszéj chwili bałwan porwał konia i pogrążył go w przepaści; ale odważne zwiérzę zebrawszy wszystkie siły, oparło się wirowi, i lubo miotane, jednak widocznie zbliżało się do przeciwległego brzegu. Jeszcze kilka bałwanów uderzyło, jeszcze raz i drugi odmęty wciągnęły i konia i mnie pod wodę, aż nareszcie koń dostał pod kopyta twardéj ziemi — i w krótce obaj zmęczeni i wysileni znaleźliśmy się na zielonéj murawie.

Po krótkim, koniecznym spoczynku, puściłem się cwałem daléj. Z każdym krokiem bliżéj domu wzrastała we mnie obawa, a gdy wreszcie zobaczyłem czerniące się w oddali wzgórza, zasłaniające przedemną moję zagrodę, serce mi stygło na myśl okropną, że lada chwilę ujrzéć mogę to, czego się obawiałem. Jednakże żadnego znaku nie spostrzegłem, coby na jaki gwałtowny zaszły akt wskazywać mogło. Ale gdym wzgórza minął, gdym stanął na skręcie już przy méj zagrodzie, natenczas krew' w żyłach mych zastygła, przed oczyma zajaśniały koła, a w głowie usłyszałem szum, głośniejszy od szumu potoku; — zagrody méj nie było, tylko na jéj miejscu dogorywały zgliszcza; ogrodzenia dla owiec i bydła zniszczone, a ani znaku bydła lub owiec.

W jednéj chwili z mężczyzny w kwiecie wieku stałem się bezsilnym starcem; wszystkie członki zatrzęsły się i odmówiły pomocy. Zwlókłem się z konia i padłem bezsilny na trawę. Lubo na taki przypadek już byłem przygotowany, co właśnie jedynie mnie jeszcze

przy życiu, a przynajmniéj przy zmysłach utrzymało, jednakże ból, chęć zemsty i inne wcale mi nie znane uczucia napełniły mą duszę.

Jak długo tak leżałem, nie wiém; kiedym głowę podniósł, usłyszałem naraz jakiś głos przytłumiony. Zadrżałem... podniósłem głowę wyżéj i spojrzałem daleko w dolinę. Tam stała już dawno opuszczona owczarnia. Przez szpary w owéj owczarni ujrzałem światło. Zerwałem się, jak wściekły, porwałem za flintę i stanąłem prawie jednym skokiem przed owczarnią, domyślając się, że tam Kafry, spóźniwszy się obozują. Chciałem polédz, ale przynajmniéj kilku z tych nędzników zabić.

Ale... o radości!... to nie Kafry, ale moja cała rodzina. Jakże tu opisać uczucia moje na ten widok! Pominę tu opis, gdyż tego wszystkiego jednak dokłanie słowami oddać nie umiém. Po ukojeniu piérwszych wybuchów radości dowiedziałem się o cudownem prawie uratowaniu się mojéj rodziny. Jeden z pastérzy dojrzał zdala zbliżających się Kafrów i zdążył jeszcze by całą moję rodzinę ostrzédz przed grożącém jéj niebezpieczeństwem. Czémprędzéj schronili się tedy wszyscy w poblizkiéj gęstwinie i nie prędzéj z niéj wyszli, dopóki Kafry nie odciągnęli.

Niedługo potém dały się słyszéć tętent kopyt końskich i ryczenie bydła. Byli to wojskowi, którzy zawezwani przez mego przyjaciela, zaszli odciągającym Kafrom drogę, zabrali ich do niewoli, a zdobycz odprowadzili mi napowrót.

Po tak okropnym dniu nastąpiła noc bardzo wesoła. Pomimo tego, że byłem bez dachu, że wszystkie sprzęty pożarły płomienie, a zabudowania dla bydła były zniszczone, jednak nigdy nie czułem się tak szczęśliwym, jak dzisiaj, gdym rodzinę oglądał zdrową.

Nazajutrz wziąłem się znowu do pracy; nie wyszło kilka miesięcy, a znaku nie było, że niedawnym czasem horda Kafrów aż do tego miejsca zapuściła była swe rozbójnicze zagony.

Palenie wdów w Indyjach.

Straszliwy ten zwyczaj długie, długie wieki grasował w Indyjach, pochłaniając rok rocznie wielkie mnóztwo nieszczęśliwych, zaślepionych istót. Skoro mąż umarł, palono go na stosie, a ten sam płomień, który pożarł jego, pożerał i żyjące wdowy, które winne były razem ze zmarłym małżonkiem dać się spalić.

Kiedy Anglicy panowanie swe w Indyjach rozszérzyli, zwyczaj ten był piérwszym, który uległ surowemu zakazowi. Prawda, że tu i owdzie zdarzały się nadużycia, a nawet może skrycie i do dzisiaj fanatyczne kobiéty, aby sobie uskarbić łaskę bogów, hołdują temu zwyczajowi; publicznie jednak już się to nie dzieje. Wiele razy rozkazy takie wychodziły, i surowe kary musiał rząd angielski wymierzać, nim mu się udało wykorzenić ów straszliwy zabobon. Dopiéro roku 1829go zwyczaj ten całkiem przytłumiono. Dotychczas bowiem rząd musiał częstokroć zezwalać na takie wybryki szaleństwa, aby ludności nie wzburzyć tępieniem zakorzenionego zwyczaju; zezwalano na spalenie się wdowy, jeśli ta dobrowolnie sama spalić się chciała. Albowiem dotąd kobiéty pozostałe po zmarłym małżonku musiały się poczęści palić mimowoli, pędzone do stosu płonącego zgrają fanatycznych derwiszów i rozbestwionéj tłuszczy.

Ostatni taki zgrozą przejmujący akt odbył się w pobliżu miasta Bombaju. Okoliczności towarzyszące temu zdarzeniu są tak okropne, że serce ludzkie krwawi się na samo wspomnienie, jak taki piękny kraj indyjski tak barbarzyńskiemu zwyczajowi przez długie mógł ulegać wieki.

Umarł był małżonek i pozostawił jednę tylko wdowę, młodą jeszcze kobiétę. Wdowa z przywiązania do zmarłego dobrowolnie ofiarowała się na stós. Kiedy więc na stósie ułożono ciało zmarłego, przystąpiła do niego z wypogodzoném czołém, a zapytana od urzędników angielskich, czy chce dobrowolnie dać się spa-

lić, odpowiedziała na to pytanie potakująco, z tak rozpromienioném obliczém, jak gdyby najprzyjemniejsza chwila w całém jéj życiu dla niéj się przygotowywała. Stąpała śmiało i pewno, czoło miała pogodne, a głowę niosła wzniesioną.

Ku podniesieniu uroczystości postępowała za nią zgraja muzykantów wygrywających wesołe sztuki; mnóztwo kapłanów z wieńcami na głowie szło obok niéj, a niezliczony tłum ludzi oblegał stós naokoło.

Ogień z trzaskiem się palił i iskry sypał naokoło; kapłani zbliżyli się do stosu, długiemi ożogami poprawiali ogień i podsycali rozgarnianiem. Wdowa tymczasem ściskała żegnając swe krewne i przyjaciółki i rozdzielała pomiędzy nie co posiadała z kosztowności. Wreszcie popychana przez braminów, rzuciła się w płomienie. Skoro jednakże płomień ją ogarnął, skoro uczuła bóle sparzelizny, wiedziona pędem zachowawczym wyskoczyła napowrót, niby upiór, z płomieni. Kapłani wtedy przewrócili stós gorejący na nię, aby jéj nie dać uciéc; ale ona w śmiertelnym strachu, z nadludzką siłą i przeraźliwym krzykiem, wyrwała się chwytającym ją fanatycznym kapłanom, i zaczęła uciekać ku rzéce.

Anglicy natychmiast skoczyli jéj ku pomocy, ale zgromadzeni widzowie przeszkodzili im, a nawet na groźne słowa Anglików i odgrażenia się surowym sądem nie zważano na nic; kapłani pobiegli za nią, schwycili nieszczęśliwą, a mimo sporu przywlokszy do stosu, wrzucili ją napowrót w płomienie.

Teraz Anglicy rozpoczęli rzeczywistą walkę, ale mimo waleczności, nie zdołali nic dla niéj uczynić, ponieważ było ich za mało, aby odnieść zwycięztwo nad tysiącznym tłumem. Kobiéta nieszczęśliwa tymczasem z rozpaczy wyrywała się z płomieni, ale za każdą razą obrzydliwi kaci, w postaci kapłanów, napowrót ją do ognia długiemi drągami naganiali.

Szczęśliwym trafem udało jéj się jednak wydrzéć się oprawcom. Uciekła tedy nieszczęśliwa, gnana strachem śmiertelnym i wskoczyła w rzékę. Kapłani pobiegli za nią, wskoczyli także we wodę, a widząc, że już do stosu jéj dowléć się nie uda, ponieważ wojsko angielskie szybko się zbliżało, postanowili ją zamęczyć we wodzie. Jak najzapamiętalsze bestye zgłodniałe, rzucili się na nieszczęśliwą; jedni objęli jéj szyję, aby udusić, a drudzy głowę jéj zanurzyli pod wodę, aby ją utopić. Przez moment cztérech z owych szatańskich kapłanów starało się ją zamordować, jednakże napróżno, gdyż nieszczęśliwa zdawała się miéć siły nadludzkie.

W téj téż chwili nadciągnęło wojsko, pochwyciło i związało kapłanów, a opiérającą się tłuszczą kolbami rozpędziło. Tak udało im się nieszczęśliwą ofiarę uratować.

Nic to jéj jednakże nie pomogło, a przynajmniéj nie wiele. Rany powstałe przez poparzenie były bardzo znaczne, a przytém rany zadane od kapłanów przy wpędzaniu w płomienie były nie małe. Dodać do tego wytężenie i przestrach śmiertelny, a będziemy mieli wyobrażenie o cielesném i duchowném usposobieniu ofiary. Umarła téż nazajutrz w najokropniejszych boleściach, przeklinana od swych krewnych i znajomych, i wzgardzona od całego narodu indyjskiego.

Kuglarz japoński.

Poseł angielski lora *Elgin* zaprosił wszystkich komisarzy na obiad. Zaproszeni stawili się, nawet o jednę godzinę prędzéj, aniżeli było tego potrzeba. Przyprowadzili oni ze sobą kuglarza, aby posłowi dać wyobrażeni o nadzwyczajnéj biegłości tych ludzi w sztukach kuglarskich. Śpiesznie urządzono rodzaj sceny z komnaty, któréj cała jedna strona dawała wyjście do ogrodu. Wyniesiono krzesła i ławy na dwór, kędy

goście, poseł i komisarze i mnóztwo oficerów zasiadło, a komnata przedstawiała im się teraz jak sala teatralna.

Kuglarz miał minę bardzo poważną i wspaniałą, a ubrany był w szaty jedwabne i szérokie. Do pomocy miał jakiegoś wyrostka, który ustawicznie bił w bębenek, i swemi żarcikami, nam na nieszczęście nie zrozumiałemi, bezustannie zgromadzonych Japończyków pobudzał do śmiéchu. Wreszcie kuglarz rozpoczął pokazywać swe sztuki. Nie było to nic nadzwyczajnego; były one wszystkie podobne tym, które i w Europie widziéć możemy. Przemieniał pieniądze, naprawiał potłuczone zegarki, z kapelusza wyciągał różne stroje, zjadał łyżki i inne tym podobne pokazywał sztuki czarnoksięzkie. Dla tego zgromadzenie, które oczekiwało coś innego, jeszcze nie widzianego, poczęło szémrać niezadowolnione.

Nareszcie kuglarz przystąpił do sztuki, zwanéj *puszczaniem motyla*. Teraz dopiéro powszechny okrzyk podziwienia rozległ się po ogrodzie, a wszystkich oczy jak świdry utkwiły w kuglarzu i jego motylu. Lecz jakże tu opisać tę sztukę? jakich wyrazów dobrać na godne wystawienie przerażającéj prawie biegłości, graniczącéj z cudem, którą kuglarz zdziwionym oczom widzów pokazał? Opiszę więc tylko całą sztukę tak jak ona się oczom przedstawiła.

Kuglarz siedział na wzniesieniu na podłodze ze skrzyżowanemi nogami od nas może o dziesięć łokci. Za nim stał jakiś świecący od złota szrank, na którym na błyszczącém tle namalowany był *pik Fusihama* niebiesko i biało. Kuglarz zakasał rękawów, pokazał nam kawał papieru jedwabnego, około sześciu cali kwadratowych wielkiego, z którego znajomą mu bardzo zgrabną i kunsztowną manipulacyją nie długo zrobił motyla z rozpiętemi skrzydłami; z tych każde ledwo jeden cal było długie. Skończywszy robotę, położył owego motyla na rękę, abyśmy się przekonali, co to jest, i że

to nie żywe zwiérzę. Następnie ustawił obok siebie dwie świéce tak, że pomiędzy niemi ledwo mógł wachlarzem szybko poruszać, nie dotykając płomienia. Potém zgrabnym poruszeniem wachlarza po nad owym papierowym owadem, wprawił go w ruch. Jednakże nie udawała mu się jego sztuka, widzieliśmy to po jego zakłopotaniu. Jakiś przeciwny ciąg powietrza przeszkadzał kuglarzowi, i dla tego motyl tak nie chciał bujać, jak kuglarz tego sobie życzył. Aby sobie dopomódz, kazał zwolna poruszać owym szrankiem, który stał za nim w tyle.

Teraz dopiéro rzucił papierowego motyla w powietrze i zdawało nam się, że wskutek poruszania wachlarzem życie wstępuje w martwy papier. To raz kręcił się w około i zwolna spuszczał się ku wachlarzowi, to oblatywał wachlarz, a potém wzbijał się w górę, zupełnie tak samo, jak czynią żywe wśród pięknego letniego dnia, to znów bił skrzydełkami przy wachlarzu, niby przy kwiatku, a potém odlatywał i wracał, chcąc niby usiéść, przyczém skrzydełka jego nerwowo drgały. Gdybyśmy nie byli widzieli, jak kuglarz motyla robił z papiéru, bylibyśmy przysięgli, że mamy przed sobą żywe zwiérzę, tak to wszystko wydawało się naturalném.

Teraz odleciał, ale niedługo odwołał go kuglarz, i w momencie, nagle zrobił nowego motyla, którego dał piérwszemu za towarzysza. Podniósszy się oba wzleciały w górę, a potém spuściwszy się, goniły się wkoło wachlarza kunsztmistrza. Nagoniwszy się, zeszły się oba, potém wzleciały na bok, a goniąc się i okrążając nawzajem, to na dół, to w górę, to w bok, bawiły się i igrały w powietrzu.

W pobliżu stała doniczka z kwiatem, umyślnie tam postawiona. Za pomocą machania zaprowadził kuglarz oba motyle do kwiatu i tam kazał im igrać pomiędzy listkami i gałązkami. Tam tak naturalnie pyszczki swe zanurzały w kwicie rośliny, że mimowolnie

wszyscy ulegliśmy złudzeniu, sądząc, że żywe przed sobą mamy istoty. Igrając przy kwiatach, przylatywały czasem do siebie, całowały się niby, a potém odlatywały ze żywością i uroczym wdziękiem żywych motylów.

Rzęsiste oklaski posypały się, a wszyscy znajdowali się w uniesieniu na ten widok. W saméj rzeczy nie tylko samo igranie motyli było bardzo piękne, ale i zdumiewała każdego z widzów niezrównana biegłość kuglarza w machaniu wachlarzem. Nikt z nas wachlarza dojrzéć prawie nie mógł, tak szybko nim poruszał.

Przedstawienie zakończyło się tém, że kuglarz wstał, wyszedł kilka kroków naprzód ku nam, ustawicznie machając swym czarodziejskim wachlarzem i zmuszając motyle do igrania około wachlarza i swéj głowy.

Nigdzie i nigdy ta sztuka nie widziana utkwiła mi na całe moje życie w pamięci.

Japonija i Japończycy.

Długie wieki kraj ten i naród był Europie nieznanym, a przynajmniéj mało co, gdyż przystęp do niego nadto był utrudnionym. I dzisiaj oko Europejczyka nie doszło jeszcze w głąb' kraju. Znamy go jednakże na wybrzeżach, znamy stolicę i miasta piérwszorzędne, będące miarą wykształcenia, zwyczajów i obyczajów tego ludu.

Japonija jest to państwo wysp. Po nad wschodnim krańcem Azyji ciągnie się na 300 mil długie pasmo wysp, z północy na południe, i to tak długie, że na północnym końcu panują ostre zimy, w środku klimat umiarkowany wiosenny, a na południe żar i gorączki podrównikowe. Największe wyspy są; Jesso, Nipon, Sidok i Kinsin. Nipon leży w środku i zajmuje tak znaczną przestrzeń, że ma tak zimny, jak umiarkowany, jak i gorący pas. Na téj wyspie jest siedlisko życia Japończyków — znajduje się tam stolica cesarza ziemskiego i duchownego.

Stolica ta nazywa się *Jeddo*. Całe państwo liczy 30 do 35 milionów mieszkańców, a ma około 6,500 mil kwadratowych. Nipon jest tak zaludnioną, że na jednę milę kwadratową przypada 6000 dusz, — liczba najwyższa ludności, jaka się na milę kwadratową przypuszcza.

Jokohama jest portem, do którego europejskie okręty zawijają. Wprawdzie niechętnie na to patrzą Japończycy: nie przeszkadzają jednakże dla zawartych układów z europejskiemi państwami. Jest to miasteczko dość znaczne i bardzo piękne, a tworzy niejako przedmieście stolicy *Jeddo*. Tu w tém mieście właśnie znajduje się wielu Europejczyków; mają oni osobną dzielnicę, o wiele większą, aniżeli japońska.

Spędziwszy kilka dni w Jokohamie, przedsiewzięliśmy podróż do Jeddo. Dopiéro od kilku lat dozwoloną jest Europejczykom zwiédzać tę stolicę. Dla tego téż nie omiészkaliśmy korzystać ze sposobności. Po dopełnieniu formalności z paszportami, jakiéj policya japońska wymagała, udaliśmy się w podróż odkrytym powozem, który miał nas w cztéry godziny zawiéźć do stolicy. Droga ciągnie się wzdłuż morza i jest bardzo malowniczą; co najbardziéj zadziwia, jest to, że bezustannie po obu jéj stronach napotykaliśmy domki miészkalne.

Jadącemu zdaje się, że Jokohama i Jeddo tworzą niby jedno olbrzymie miasto. Na całéj przestrzeni każdy przedmiot był dla nas nowością i zwracał na się uwagę naszę. Miészkańcy zaś ze swéj strony wychodzili z domostw i patrzyli na nas ze zdziwieniem i nietajoną ciekawością. Opuściwszy Jokohamę, napotkaliśmy najprzód małą, piękną wioseczkę, zwaną Kanagawa, położoną na stromém wzgórzu, co bardzo uderzający sprawia widok, a na pół drogi leży znowu maleńkie miasteczko Kawasaki, stanowiące granicę terytoryum, po którém Europejczycy mogą krążyć swobodnie. Dla przebycia obléwającéj to miasteczko rzéki, trzeba

koniecznie pokazać paszporta zastępującym drogę *jakuninom*, to jest oficerom, a ztamtąd oficerowie ci towarzyszą podróżnemu, jako niby honorowa eskorta przyboczna. Japończycy otaczają cudzoziemców tą niby honorową strażą, pod pozorem okazania zaszczytu i bronienia przeciw napaści krajowców; lecz prawdziwym tego powodem jest chęć czuwania nad nimi i przeszkodzania mięszaniu się w miejscowe sprawy.

Przebyliśmy więc rzékę w dużém czołnie i jechaliśmy daléj, ciągle eskortowani przez cztérech jakuninów, którzy posuwali się za nami jak cienie.

Od czasu do czasu zatrzymywały nas grupy młodych, rumianych dziéwcząt, które z właściwą tutejszym kobiétom gracyą podawały nam filiżanki z herbatą, nie chcąc przyjąć żadnego wynagrodzenia. Niekiedy wchodziliśmy do herbaciarni, aby trochę odpocząć. Mnóztwo kobiét zjawiało się natychmiast na nasze usługi; rozściełały nam na ziemi plecionki, podawały *saki*, herbatę, śpiéwały przy towarzyszeniu gitary zwanéj *sam-sinn*, i starały się nas rozweselić tysiącznemi żarcikami i dziecinną swą naiwnością.

Spotkaliśmy w drodze jednego *daimiosa* w podróży, widok dość ciekawy dla cudzoziemców. Daimios znaczy tyle co książę. Cała bowiem Japonia podzielona jest na kilka takich księztw, częstokroć tylko tytularnych, a każde takie księztwo stanowi właściwie jednę wielką rodzinę, podzieloną na kilka kast. Każdy téż Japończyk należy do kogoś, nie w charakterze sługi lub niewolnika, ale jako członek towarzystwa, klanu, korporacyi, któréj głową jest *daimios*. Taki daimios ma swych radzców, lenników, *samurajów*, czyli rycerzy noszących dwie szable, oraz mnóztwo żołniérzy i oficyalistów. Każdy téż Japończyk nosi i na grzbiecie i na rękawach herb księcia korporacyi, w któréj usługach się znajduje. Herb taki jest to zwykle kwiat lub para liter umieszczonych wewnątrz wyszywanego koła.

Daimiosy, którzy wyjątkowém swém położeniem odpowiadają stanowi naszych dawnych książąt, nie wyjeżdżają nigdy na spacer, nie zabrawszy ze sobą pewnéj części wojska, amunicyi, żon, służących i mnóztwa różnorodnych przedmiotów. Orszak idzie następującym porządkiem. Naprzód postępuje oddział ułanów, niosących dumnie chorągwie, na których wyszyte są herby daimiosa; potém postępują członkowie rodziny, wszyscy konno; następnie osobni do tego urzędnicy niosą żony daimiosa w zamkniętych, czarnych lektykach, złotem suto ustrojonych; potém idą tłumy służących, zbrojnych w parasole i wachlarze, a nareszcie niosą niezliczone mnóztwo pakunków w czarnych lakierowanych pudłach, które są wszystkie jednakowéj wielkości.

Kiedy przejeżdża taki orszak, Japończycy padają na twarz i pozostają w téj postawie, dopóki cały pochód się nie skończy. Co zaś do Europejczyków, ci własném życiem już nie raz przypłacili lekceważenie swoje, chcąc przecisnąć się koniecznie podczas takiego uroczystego pochodu. Takiéj zniewagi nie przebaczają. W XVIItym wieku, kiedy Europejczycy znajdowali się już prawie u szczytu swoich zamiarów i potęgi w Japonii, jeden portugalski biskup ośmielił się przeciąć swoim ekwipażem szeregi takiego daimiosa, — i zdarzenie to stało się przyczyną wytępienia chrześcijan w tym kraju.

Po cztérogodzinnéj podróży przybywamy nareszcie do wspaniałéj bramy miasta, zbudowanéj w kształcie tryumfalnego łuku; musieliśmy jednakże jeszcze dobrą godzinę iść pieszo, zanim odszukaliśmy hotel, gdzie wolno miészkać Europejczykom.

Rozległość Jedda jest 36 mil kwadratowych, a ma 3 miliony miészkańców. Jest zatém co do rozległości największém miastem na świecie. Rozległość jednakże jest prostym skutkiem częstego trzęsienia ziemi. Dla tego bowiem Japończyk piętrowych kamienic budować nie może, lecz małe, nizkie, a każda rodzina miészka w

osobnym domku. Ztąd ta straszliwa rozległość. Prawda, są tu też gmachy kolosalne, kamienice piętrowe i rozległe pałace, ale te są w mniejszości.

We wycieczkach naszych po mieście towarzyszyły nam ciągle jakuniny, przez co wzbudzaliśmy pewien szacunek wśród tłumów, który gromadził się ciągle na naszém przejściu. Przy naszém piérwszym wyjściu na miasto zastanowiły nas *machiny do modlenia się*. Dziwnie się to słyszy, a jednak nie jest to żaden żart. Owóż na rogach ulic stoją poustawiane przyrządy, w których znajdują się walce z korbami. Na walcu takim są poprzylepiane pisane rozmaite modlitwy, tak że w całéj machinie znajdują ich się setki. Pobożny przystąpiwszy do machiny, zaczyna kolbą obracać walec i na ten sposób obróci jednę lub dwie pisane modlitwy, co u nich znaczy właśnie tyle, jakby je odmówił. Kto jest bardzo pobożnym, to poczeka i pokręci trochę dłużéj, i w kika sekund odmodli na ten sposób setki modlitw.

Na każdéj prawie ulicy znajduje się po kilka kąpieli; zwyczajem jest bowiem Japończyków, a zwłaszcza kobiét, aby czasem i kilka razy na dzień chodzić się kąpać. Zakłady takie dzieli od chodników tylko zwyczajna krata drewniana, dozwalająca przechodniom patrzéć do woli na kąpiących się i wewnątrz kąpielni. Tu zaś kąpią się mężczyzni, kobiéty i młode dziewczęta, czasem do stu osób naraz, bez żadnych ubiorów, a nikt wcale na to nie zwraca uwagi. Czasami nawet kąpiąca się dama wychodzi aż na ulicę, aby rozmawiać się z przechodzącymi znajomymi, nie ubrawszy się wcale poprzednio.

„Co kraj, to obyczaj“, mówi przysłowie; Japończyk, równie jak dawniejsi Grecy, utrzymuje, że prawdziwa niewinność nakazuje tak chodzić, jak nas Pan Bóg stworzył, i twiérdzi, że zwyczaj ukrywania kształtów ciała zaprowadzili tylko przewrotni Europejczycy. Japończyk też tak przyzwyczajony do podobnych widoków, że ani

na kąpiących się, ani na tłumy ludu przechodzące bez ubrania nie zwróci swego oka.

Japończycy golą głowy, zostawiając tylko czub, który namaszczają wonnemi olejkami, lub czasem splatają w krótki warkocz. Ubranie ich składa się z obcisłych spodni i rodzaju opończy, bardzo szérokiéj, ujętéj w pasie przepaską, a szérokie, prawie do ziemi sięgające rękawy, stanowią główną cechę kostiumów obojéj płci. Używają po większéj części ciemnych kolorów.

Rzadko można widziéć Japończyka śmiejącego się, lubo ma twarz zawsze uśmiechniętą.

Nie ma ludu, któryby był grzeczniejszym i skorszym do usługi. We wycieczkach naszych, gdzieśmy tylko przybyli, wszędzie przyjmowano nas otwartemi ramionami, kobiéty i dziéwczęta cisnęły się ku nam, częstując nas herbatą i ciastkani, a mężczyzni kłaniali nam się nizko. Co innego działo się w okolicy Jokohamie, te jest tam, gdzie Europejczyków jest pełno. Traktowano nas tam nawet nieraz z pogardą, częstokroć zamykając nam drzwi przed nosem. Podobno gościnność miészkańców wzrasta w miarę oddalenia się w głąb' kraju. Smutna to rzecz, że ucywilizowani Europejczycy zasłużyli na pogardę u narodów niższych cywilizacyą... Ja sam patrzałem nieraz ze wstrętem na Europejczyków, którzy, nie szanując żadnych miejscowych praw i zwyczajów, wybuchali głośnym śmiéchem w świątyniach, chwytali kobiéty przez pół na środku ulicy, wskakiwali pijani na stoły lub tłukli drogocenne naczynia. I jakże ma Japończyk od Europejczyka przyjąć wiarę chrześcijańską?!

Lubo kobiéty japońskie są dosyć ładne, to jednakże jako mężatki straszne są w oczach cudzoziemca. Kobiéta tutejsza, póki jest panną, stroi się, a mianowicie dba o strój głowy. Im ma więcéj kochanków, tém większa dla niéj zaleta. Skoro zaś zostane mężatką, staje się najwierniejszą żoną, a na znak niedotykalności goli sobie brwi i czerni zęby.

Mężczyzni znów mają inną, wiele straszliwszą cechę charakterystyczną, narodową, a nią jest rozrzynanie brzucha. Jakuniny, samuraje i inni dostojnicy noszą ustawicznie za pasem *ua-kidach*, czyli nóż do rozpruwania sobie brzucha. Nie tylko bowiem, że *taikun*, czyli cesarz, zamiast komu przesłać naganę, przesyła mu rozkaz rozprucia sobie brzucha, ale nawet honor każdego urzędnika wymaga, aby każdy brzuch sobie dobrowolnie rozpłatał, jeśli dla jakiegobądź powodu otrzymanego rozkazu wykonać nie może.

Pominąwszy niedostatek ich form obywatelskich, są Japończycy narodem najwięcéj w Azyi ucywilizowanym, posiadającym dzisiaj koleje żelazne, poczty i telegrafy, a każda wioska ma swoję szkołę elementarną. Naród ten idzie ciągle drogą postępu, mając ustawicznie cywilizacyją europejską za przewodniczkę i wybiérając z niéj co jest naśladowania godną, a odrzucając co się nie zgadza z dobremi obyczajami. Z postępów, które Japonia uczyniła, wnosić wypada, że wielka i wspaniała oczekuje kraje owe przyszłość.

Połów na wieloryby.

Smutny obraz przedstawiają *Grenlandya* i morze grenlandzkie. Wieczne lody pokrywające kraje podbiegunowe, nie dopuszczają żadnego objawu roślinności, chyba jakie skarłowaciałe drzewko na najpołudniowszych krańcach Grenlandyi wskazuje, że i tu mogłyby rosnąć kwiaty i drzewa, gdyby nie zimno przenikliwe. Morze szumi i bałwani się, ale ani jego szum nikogo nie obchodzi, ani czasem wygładzona powiérzchnia nikogo nie zwabia. Pusto na lądzie, pusto na morzu. Tylko lodowe góry tu panują, tylko wieloryb i niedźwiédź biały tutaj miészkają.

Przez setki lat mnóztwo wielorybów ożywiało morze podbiegunowe, a w okolicy Grenlandyi, zdaje się,

że miały punkt swéj schadzki. Tu była ich bowiem taka ilość, że płynącym tamtędy okrętom nieraz zagrażało niebezpieczeństwo. Teraz rzeczy się zmieniły. Człowiek, ów najdrapieżniejszy potwór, na rozmaity sposób nawytępiał mnóztwo olbrzymów morskich, a które się jeszcze pozostały, schroniły się w najniedostępniejsze okolice oceanu, pomiędzy lodowce podbiegunowe, gdzie ani sztuka, ani chęć zysku człowieka zaprowadzić nie może. Ilość wielorybów bardzo się zmniejszyła, ale pomimo tego jeszcze corocznie setki okrętów płyną w mroźne okolice na połów wielorybów.

Skoro okręt przybędzie w okolicę, gdzie się znajdują wieloryby, natenczas cała załoga ma się na baczności i dniem i nocą wystawiają straże. Zwykle okręty przeznaczone na połów wielorybów mają siedm łodzi, które tak są do boku okrętu przymocowane, że w momencie można je spuścić na wodę. Jeźli morze nie jest nadto burzliwe, to zawsze jedna łódź, ludźmi obsadzona, znajduje się na wodzie. Łodzie takie są na trzydzieści stóp długie, pięć do sześciu stóp szérokie, a tak zbudowane, że można niemi kierować z wielką łatwością. Jeden z oficerów znajduje się w koszu na maszcie i ustawicznie śledzi okiem na około. Skoro zobaczy albo grzbiet wieloryba, albo promień wody, natychmiast straż alarmuje. Śpiesznie natenczas spuszczają łodzie, a załoga sadowi się na nich. W każdéj łodzi znajdują się jeden *harpunista* i mnóztwo zwiniętych lin, które tak są ułożone, że można je z wielką łatwością wyciągnąć w jednę linę do cztérech tysięcy stóp długości.

Najważniejszém narzędziem przy połowie ryb jest *harpuna*. Jest to żelazo na półtora łokcia długie, bardzo ostro zakończone, z dwoma hakami w tył zwróconemi. Gdy taka harpuna w ciele wieloryba ugrzęźnie, to haki w tył odwrócone nie pozwalają jéj wypaść, ani się wyrwać. Żelazo to ma na przeciwnym końcu kółko, do którego przywięzuje się lina, leżąca w łodzi. Prócz tego

do żelaza, czyli do właściwéj harpuny, przytwiérdza się długi drewniany trzonek, tak że skoro harpuna uderzy na wieloryba, trzonek ten odpada. Skoro więc harpunista uderzy harpuną wieloryba, natenczas żelazo aż do kółka ugrzęznie w ciele, trzonek odpada, ale za to lina przywiązana do kółka harpuny nie pozwala uciéc ranionemu zwiérzęciu.

Łódź jedna zbliża się do wieloryba jak najspokojniéj, aby go nie spłoszyć. Gdy owa łódź stanie w odpowiedniéj odległości, natenczas harpunista mierzy i jednym trafnym rzutem wbija harpunę w grzbiet zwiérzęciu. Moment ten jest niebezpiecznym, gdyż wieloryb, skoro poczuje, że jest rannym, rzuca się gwałtownie, a jedno uderzenie jego ogona wystarcza na rozbicie łodzi w drobne kawałki. Zwykle jednakże wieloryb, uczuwszy żelazo w ciele, zanurza się pod wodę głęboko i z wielką szybkością płynie naprzód, ciągnąc łódź po za sobą. Lina rozwija się szybko, tak szybko, że trzeba ją wodą zlewać, aby się nie zapaliła. Ostróżność jest teraz konieczną, gdyż gdyby się lina chociaż najmniéj tylko zaplątała, to natychmiast siła wieloryba wciągnęłaby łódź pod wodę. Czasem się zdarza, że liny braknie; natenczas majtkowie wynoszą trzy wiosła w górę, a to jest znak dla innych łodzi, aby przybywały z pomocą.

Tymczasem lina trze się o okrągły wałek, po którym się odwija, a to tak szybko, że jak już powiedziano, trzeba ją wodą zlewać, aby się nie zapaliła. Od wielkiego jednak gorąca mokra lina tyle wydaje pary, że harpunistę całkiem okrywa i w około gęste kłęby pary wzbijają się do góry. Gdy liny zaczyna braknąć, a łódź z pomocą się spóźnia, natenczas trzeba w ostateczności odciąć linę. Lecz przez to nietylko traci się wieloryba, ale i harpunę i bardzo wiele kosztownéj liny. Jest to jednakże koniecznością, w przeciwnym razie wieloryb zatopiłby łódź niechybnie.

Skoro harpuna utkwiła i wieloryb zanurzył się pod wodę, natenczas załoga łodzi wywiesza chorągiewkę na znak okrętowi. Na okręcie téż rozpoczyna się natychmiast bardzo ożywiony ruch; spuszczają resztę łodzi i załoga okrętowa uzbrojona w lance siada w łodzie, aby także w polowaniu wziąść udział.

Wieloryb koniecznie potrzebuje oddechu, dla tego nigdy dłużéj jak pół godziny pod wodą nie może pozostawać; jednakże rzadko się zdarza, aby czekał aż do ostatecznéj chwili, lecz zwykle prędzéj ukazuje się znowu na powiérzchni. Ale ukazuje on się w znaczném oddaleniu od miejsca, na którym go harpuną ugodzono. Łodzie jednakże tak się urządzają, że przynajmniéj jedna z nich znajduje się w pobliżu tego miejsca, gdzie się wieloryb ukaże. Skoro wieloryba zobaczą na powiérzchni, natenczas rzucają na niego nowe harpuny i lance. Organizm wieloryba jest bardzo delikatny, i małe zranienie przyprawia go o wielką utratę krwi. Dla tego téż staje się coraz słabszym i niedługo już uciekać nie może. Ale jeszcze w chwili zgonu bardzo jest niebezpiecznym, gdyż trzepie gwałtownie ogonem, uderza nim we wodę, sprawując tak głośny łoskot, że go można na milę drogi słyszéć. Wreszcie wskutek upływu krwi umiéra i jak czarna wyspa pływa po powiérzchni. Natenczas zdejmują chorągiewkę a trzykrotne hura! rozlega się wokoło. Teraz przebijają wielorybowi ogon, zakładają liny i z okrzykami radości ciągną go do okrętu.

Następném zatrudnieniem jest rozebranie wieloryba. Żaden okręt, chociaż największy, nie uniósłby wieloryba, gdyby go miano na pokład wewindować. Dla tego wchodzą na zabite zwiérzę ze siekiérami i toporami, i odrębują wielkie połcie słoniny, które na pokładzie dzielą na mniejsze kawałki, które zapakowane w beczki, ustawia się na spodzie okrętu. Gdy jednę stronę wieloryba obcięto ze słoniny, przewracają za pomocą lin i windy zwiérza na drugą stronę, z któ-

réj znów wszystko użyteczne wycinają i to tak długo, dopóki wszystkiéj słoniny nie mają na okręcie. Nareszcie biorą szczęki i inne kości, dające fiżbin, a resztę pozostawiają na łup potworom morskim.

Skoro tylko uskromnią się z wielorybem, następuje wytapianie tranu. We wielkich kotłach smażą słoninę, a tłuszcz, który spływa, zlewają w beczki i zachowują na spodzie okrętu.

Pomiędzy licznemi niebezpieczeństwami, na jakie się poławiacze narażają, trzeba najprzód o tych wspomnieć, które im grożą ze strony samych wielorybów. Wiadoma, że jedno uderzenie ogonem wystarcza, aby łódź rozbić na kawałki, albo ją też wysoko rzucić w górę. Zdarza się jednakże, że czasem wieloryb broni się paszczą, albo też uderzy łbem o okręt z tak straszliwą siłą, że go zatapia. I jedno i drugie zdarzyło się w roku 1850. Dwie łodzie, jedna pod dowództwem sternika, a druga pod dowództwem samego kapitana, ścigały wieloryba, aż wreszcie udało się sternikowi ugodzić go harpuną. Wieloryb począł uciekać, ale po niejakiéj chwili wrócił się napowrót, uderzył na łódź, schwycił ją w paszczę i zdruzgotał szczękami. Kapitan ze swoją łodzią znajdował się w pobliżu i wyratował wszystkich, którzy po roztrzaskaniu łodzi znajdowali się we wodzie. Ponieważ załoga okrętowa całe to zajście widziała, przeto nowa łódź przyszła na pomoc. Kapitan postanowił teraz powtórnie zaczepić wieloryba, który tymczasem zanurzył się pod wodę. Obie łodzie puściły się w tę stronę, gdzie według prawdopodobieństwa wieloryb powinien był ukazać się na powiérzchni. Jak zwykle, tak i tą razą płynęły łodzie jedna od drugiéj w pewném oddaleniu. Gdy się wieloryb ukazał, łódź pomocnicza znajdowała się tuż obok niego. Harpunista chciał właśnie harpunę zarzucić, gdy tymczasem wieloryb z całą wściekłością tak nagle uderzył, że załoga ledwo miała czas wyskoczyć we wodę, a potwór pochwycił łódź w paszczę i tak na miazgę

zdruzgotał, że późniéj nie można było ani kawałka drewna z niéj zobaczyć. Kapitan, lubo sam narażał się na niebezpieczeństwo, bo potwór mógł i na niego uderzyć, kazał szybko płynąć na ratunek tym, którzy popowtórnie się znajdowali we wodzie. Jakoż udało mu się znowu wszystkich uratować. Oczywiście, już nie miano odwagi zaczepić wieloryba, dla tego łódź obciążona rozbitkami wracała do okrętu. Ku wielkiemu przerażeniu spostrzeżono, że wieloryb, jak kula armatnia, pędził ku nim. Na szczęście przepłynął on tuż koło łodzi, nie naruszywszy jéj. Kapitan zmartwiony znaczną szkodą, jaką poniósł przez utratę tak dwóch łodzi, jako i przyborów na niéj się znajdujących, chciał koniecznie owego wieloryba ukarać. Dla tego postanowił zrobić na niego polowanie, już nie łodzią, ale okrętem. Nie długo trwało, a okręt dognał wieloryba i w przelocie rzucono dzidę na jego głowę. Wkrótce okręt się zwrócił, aby drugi raz uderzyć. Kapitan z lancą w ręku oczekiwał dogodnéj chwili, aby nieprzyjacielowi zadać raz śmiertelny, skoro się ukaże na powiérzchni, gdy wtém z przerażeniem spostrzeżono, jak wieloryb szalenie prędko pędził wprost ku okrętowi. Chwilę późniéj dał się słyszéć trzask i łomot, jak gdyby okręt uderzył o skałę, a cały statek zadrżał i uniósł się w górę i znowu opadł.

Kapitan zbladł, rzucił dzidę, a sam co prędzéj zbiegł na spód okrętu. Jakiż widok! Wieloryb wybił łbem w spodzie okrętu dziurę, którą woda rzygała do wnętrza. Przerażony kapitan wybiegł na pokład, kazał wielkie kotwice i inne ciężary wrzucić do morza, aby okręt jeszcze dłużéj utrzymać na powiérzchni, a majtkom rozkazał co żywo uciekać na łodzie i wziąść ze sobą żywności. Zszedszy do kajuty, już nie mógł niczego wziąść ze sobą, bo woda już na trzy stopy stała wysoko. Wybiegł znowu na pokład, a tymczasem już majtkowie znajdowali się na łodziach. Kapitan był ostatni, który okręt opuścił. Zeskoczył on w mo-

rze i w pław dopłynął do piérwszéj łodzi, a w téj téż chwili okręt przewrócił się na bok, aż maszty plusnęły we wodę. Ponieważ spodziewano się zatonienia okrętu lada chwili, dla tego łodzie szybko musiały się oddalać, w przeciwnym razie mogłyby odmęty i łodzie za sobą pociągnąć w przepaści morskie. Niestety! nie było czasu wziąść ani odrobiny pożywienia, a wody zdążyli zabrać ledwo dwanaście kwart, na dwudziestu kilku ludzi! Łodzie same nie były najlepsze, przepuszczały wodę, tak że trzeba było całą noc wodę ciekącą wylewać ustawicznie. Nazajutrz wrócono się do okrętu. Jeszcze nie zatonął; leżał on na boku tak jak wczoraj. Kapitan odważył się wniść na pokład, odciął maszty, a okręt stanął znowu poziomo. Wtedy weszli na pokład i majtkowie, sądząc że odrąbawszy deski pokładu, dostaną się do zapasów żywności. Praca ich była daremna, gdyż ledwo dwadzieścia funtów wodą morską zmaczanego chleba i sądek octu winnego udało im się uratować. Jednakże nie można było dłużéj pozostawać na okręcie, ponieważ tenże mógł lada chwilę zatonąć.

Skoro załoga znalazła się znów w łodziach i kilkadziesiąt kroków odpłynęła, zobaczyła, jak okręt przewróciwszy koziołka przez przodek, zatonął.

Lubo okręt nie mógł im dać już żadnego ratunku, jednakże dopóki znajdował się na powiérzchni, majtkowie byli niejako spokojniejsi; ale gdy zatonął, rozpacz ich nie miała granic. Śmierć w najrozmaitszych postaciach stała im przed oczyma; brakło im wszystkiego, co tylko do utrzymania życia jest konieczną. Zmaczani, zeziębli, bez żywności, wystawieni na wiatry i mrozy biegunowe — czegóż się mieli spodziewać, jeśli nie śmierci? Część morza, na któréj się znajdowali, była najmniéj przez okręty zwiedzaną, które mogłyby im przyjść na ratunek. Jednakże nigdy rozpaczać nie trzeba; ratunek przyjdzie, chociaż nie oczekiwany. Tak i nasi rozbitki długo nie potrzebowali rozpaczać, gdyż

już dnia następnego ujrzeli statek. Natychmiast zaczęli dawać znaki i krzyczéć; na okręcie łodzie spostrzeżono i wkrótce cała załoga znalazła ratunek na statku.

Niebezpieczeństwa jednak, które sama natura stawia, są o wiele liczniejsze i o wiele groźniejsze. Bryły lodowe i burze mroźne na morzach grenlandzkich są dla podróżnych bardzo niebezpiecznie. Przed kilkunastu laty dwadzieścia okrętów lodowce zdruzgotały. Kapitan Ross powiada: Kto nie widział morza lodowatego, ten nie ma wyobrażenia o niebezpieczeństwach, które żeglarzowi w każdą godzinę zagrażają. Trzeba sobie wystawić ogromne góry lodowe, które wprawione w ruch bądźto mocnym wiatrym, bądźto prądem morskim pędzone, uderzają na siebie, rozbijąją się z łoskotem tysiąca armat, a wreszcie straciwszy równowagę, przewracają się i morze naokoło wprawiają we wirowanie i falowanie szybkie; wystawić sobie trzeba olbrzymie kry, nakształt pola lodowego, które przypływem morza pędzone uderzają o owe lodowce, wznoszą się bardzo wysoko w górę, a wreszcie z hukiem się rozpadają; wystawić sobie trzeba ów przeraźliwy trzask temu wszystkiemu towarzyszący — a teraz wystawić sobie statek pomiędzy owemi lodowcami, które mu ustawicznie bądźto roztrzaskaniem, bądźto zawaleniem, bądźto zgnieceniem zagrażają. W takich razach człowiek czuje swoję bezsilność; jednakże choć straszliwém jest jego położenie, nie pozostaje mu czasu do obawy, gdyż co chwila następuje coś nowego, które tak samo, jak grozi zniszczeniem, tak samo i ratunek przynieść może.

Pewien podróżny holenderski przeszedł takie niebezpieczeństwa, i cudem tylko się prawie uratował. Właśnie w czasie, kiedy się miano wrócić z morza lodowatego już do portu, lodowce zaraz okręt ze wszech stron otoczyły.

Trzy dni — powiada podróżny — pomiatał nami wiatr pomiędzy masami lodu, a każdéj chwili obawialiśmy się rozbicia o niezliczone otaczające nas skały, a pływające lodowce, rozbijające się ze straszliwym hukiem, groziły nam ustawicznie zdruzgotaniem. Wreszcie spostrzegliśmy krę lodu na 20 do 30 stóp wysokości, mającą około pół mili obwodu,a przy któréj na stronie do nas zwróconéj widzieliśmy dwa w morze wychodzące języki, pomiędzy któremi znajdowało się wcięcie nakształt zatoki.. Gdyby nam się udało wpłynąć do téj zatoki i okręt kotwicą do kry przymocować, to moglibyśmy, niby w porcie być bezpieczni przed zetknięciem się z lodowcami. Ale usiłowania nasze były daremne, gdyż kotwice na gładkim lodzie trzymać się nie chciały, a łodzie nasze tak były zniszczone, że ich użyć nie było można. Wreszcie kilku majtków postanowiło z linami puścić się w pław do owego lodu. Było to niebezpieczne przedsięwzięcie, które byłoby o śmierć odważnych marynarzy przyprawiło. Wprawdzie płynąc nie ucierpieli wiele od zimna, gdyż woda morska była o wiele cieplejszą aniżeli powietrze; ale skoro dopłynęli do lodu i na niego weszli, natychmiast ich odzież zmarzła i okryła się tak dalece lodową skorupą, że prawie stężeli, gdyż nie mogli się poruszać. Jednakże udało im się kotwicę owemi linami, które ze sobą wzięli, na lód wyciągnąć i na nim do brył tam się znajdujących przymocować. Potém rzucili się znowu w morze i lubo na pół nieżywi, dostali się do okrętu, gdzie ich z wielką trudnością ledwo do sił napowrót przyprowadzono.

Teraz wciągnęliśmy nasz okręt do zatoki i do skał lodowych przymocowaliśmy grubemi linami. Skutek naszych usiłowań przeniósł nawet oczekiwanie : staliśmy tak spokojnie i pewnie, jak w porcie, a nawet mogliśmy się spodziewać, że owo pole lodowe, które dość szybko ku południowi płynęło, także i nasz okręt na pełne morze wyprowadzi. Na ten sposób mogliśmy

nareszcie po trzydniowéj, nadludzkiéj pracy, na niejaki czas odpocząć; tymczasem w koło nas morze huczało, a lodowce z trzaskiem rozbijały się jedne o drugie.

Okręt nasz znajdował się jeszcze niedługo w porcie, gdy na łodzi dał się słyszeć niemiły wrzask, podobny do ochrypłego szczekania psów, a który to głos uznaliśmy za wrzask psów morskich. Pragnienie świéżego mięsa było u majtków tak wielkie, że mimo znużenia, uzbrojeni w kije, wybiegli na lód w celu polowania na psy morskie. Najprzód ujrzeli tylko jednego pojedyńczo, zapewnie na straży stojącego! Gdy się do niego zbliżyli, podniósł głowę w górę, podskoczył i zawył przeraźliwie. Na to wysunęła się cała trzoda z kryjówek i z takim zapędem rzuciła się w stronę ku wodzie, że wielu z naszych ludzi obaliła i kawał drogi ku morzu ich popchnęła. Lubo zwiérzęta te nie są szybkie, jednakże osłabionym majtkom zdołały uciéc; jedno tylko młode było ich całą zdobyczą, które zwolna postępowało za trzodą i kijem w nos uderzone, padło. Ledwo tylko przyniesiono owo zwiérzę na pokład, gdy przyszło do siebie, podniosło się, i tak zacięcie broniło się zębami i nogami, że musiałem przynieść flintę, aby je zastrzelić. Jeszcze tegn wieczora, o ile można było, sprawiono z niego ucztę, a ponieważ było soczyste i smaczne, przeto spożyliśmy je z przyjemnością. Zresztą psy morskie i ptaki nawałniki były to jedyne żyjące istoty, które widzieliśmy podczas całego naszego pobytu na lodowcach.

Pokrzepieni długim, niczém nie przerwanym snem, wybiegliśmy nazajutrz na pokład, aby zobaczyć, czy nasza kra nie wyprowadziła nas już na otwarte morze. Ale któż opisze nasze przerażenie, gdyśmy zobaczyli, że jesteśmy naokoło otoczeni lodami, których końca dojrzéć nie było podobna! Zima już nadeszła, kry lodowe zrosły się w jedno stałe pole, i pewną było rzeczą, że będziemy musieli zimę trwającą ośm miesięcy przepędzić w naszém więzieniu. Były to złe

widoki na przyszłość, zwłaszcza że nasze zapasy żywności na długi przeciąg czasu wystarczyć nie mogły. Podczas gdy załoga lamentowała, zebrałem oficerów na naradę, jakby się najlepiéj przez zimę przed głodem i zimnem zabezpieczyć.

Ażeby ile możności i tak już uszczuplonych zapasów opału oszczędzić, urządziłem kajutę za wspólne miészkanie dla majtków. Ponieważ zwyczajna odzież nie mogła dostatecznie od zimna zabezpieczyć, dla tego wydałem wszystkie futra zdobyte, z których majtkowie poszyli kożuchy, maski i rękawice. Gorzéj było ze żywnością. Suchary nasze były poczęści zjedzone; mieliśmy jednakże znaczny zapas zboża, które suszyliśmy na piecu i śrótowaliśmy na młynkach do kawy. Także miałem nadzieję, że w ciągu zimy uda nam się ubić dosyć psów i koni morskich, oraz białych niedźwiedzi, a przez to będziemy mogli swoje szczupłe zapasy mięsa pomnożyć. Największą trudność sprawiało nam przyrządzanie pokarmów, gdyż w braku opału musieliśmy potrawy nasze gotować w jednym tylko piecu, i to w małych blaszanych naczyniach do picia. Aby się przed brakiem wody zabezpieczyć, zmiatano co rano śniég, który spadł nocą na pokład okrętowy, i zachowywano go w miejscu, które dawniéj należało do majtków.

Potém rozporządzeniu, zaczęliśmy rozmyślać nad stósowném dla majtków zatrudnieniem; jednakże wszelkie nasze usiłowania rozproszenia ich czarnych myśli były bezkuteczne. Wszyscy byli zupełnie przekonani, że w tych lodowych masach zginą śmiercią głodną. I ja zacząłem tracić odwagę i nadzieję, gdym pomślał, że tylko cud nas ocalić zdoła.

Na ten sposób minęły trzy tygodnie, podczas których położenie nasze w niczém się nie zmieniło. Wtém jednego wieczora powstała straszliwa burza z północnego wschodu, któraby była okręt nasz zapewne strzaskała, gdyby nie był szczelnie zamknięty lodami. W nocy zdawało nam się, jakoby nasz okręt był w biegu;

nad ranem trzask oznajmił nam, że lody popękały i silnie o siebie uderzają. Pomiędzy nadzieją i obawą czekaliśmy z upragnieniem rana, które albo nas miało zgubić, albo ocalić. Skoro po długiém, przykrém oczekiwaniu piérwszy brzask rozjaśnił widnokrąg, ujrzeliśmy z wielką radością, że okręt jest posłuszny sternikowi.

Jednakże, chociaż byliśmy z naszego więzienia wyzwoleni, zagrażały nam wszechstronnie rozliczne niebezpieczeństwa, których ujść ledwo mogliśmy się spodziéwać. Przez kilka dni tak nas lody w koło otoczyły, że tylko z trudnością mogliśmy się posuwać. Raz musieliśmy wielkie kry opływać, to znów pomiędzy wysokiemi i groźnemi górami lodowemi szukać przejścia. Czasami osiadaliśmy pomiędzy lodami i szybko musieliśmy zwijać żagle; niedługo jednak zwykle nacisk nowych mas lodowych rozkuwał nasze pęta, wpychając otaczające nas kry jedne na drugą. Często brały dwie straszliwe kry okręt nasz pomiędzy siebie i tak silnie ściskały, żeśmy lada chwila zduszenia oczekiwali.

Raz nawet wysoka góra lodowa, która zapewne dołem wodą była podkopana, tuż przy naszym okręcie się przewróciła, a przez to powstał wir taki straszny, że okręt nasz kilka minut kręcił się w kółko jak wartałka.

Jednak ręka Bozka przeprowadziła nas przez wszystkie niebezpieczeństwa. Już po pięciu dniach wypłynęliśmy na otwarte morze, a w trzy tygodnie późniéj zawinęliśmy szczęśliwie ze znaczną zdobyczą do szkockiego portu.

Przygoda w Labrador.

Półwysep Labrador leży na zachodniéj stronie północnéj Ameryki. Jest to ogromny obszar lądu, ale mało zamiészkany dla strasznego zimna. Anglicy, do których ta część Ameryki należy, pozakładali tutaj

nad morzem stacye, dokąd przybywają okręty, przeznaczone na połów fok i psów morskich, znajdujących się tutaj we wielkiéj obfitości, oraz dla zakupywania skór i futer. Nieliczni Indyanie, pędzący tutaj mizerne życie, trudnią się poczęści handlem futrami, za które dają im Anglicy inne towary, jako to: broń palną, proch, ołów', odzież, a mianowicie gorzałkę.

Lato trwa tutaj ledwo kilkanaście tygodni. Temperatura bardzo niestała, gdyż częstokroć w kilka godzin po wielkiéj gorączce rzéki i jeziora już zamarzłe, i odwrotnie, czasami w godzinę już lody stajały i bałwany kry po powiérzchni wody rzucają.

Stacyja, w któréj właśnie się znajdowałem, położona była na północnym krańcu Labradoru, nad jeziorem cztéry mile długiém i tyleż mil szérokim. Wody tego jeziora spływały szérokim strumieniem do innego, o wiele większego jeziora. Okolica zaś cała była pokryta gęstym lasem.

Pewnego dnia po południu chodziłem z flintą ponad brzegiem jeziora, celem upolowania jakiéj zwierzyny. Chociaż to była wiosna, jednakże jezioro pokrywały grube lody, ponieważ mieliśmy bardzo ciężką zimę. Chodząc tak, ujrzałem naraz nad sobą ciągnące stado kaczek. Pobiegłem za niemi, wiedząc, że muszą się niezadługo spuścić. Spodziewałem się przytém, że łatwo mogę zbliżyć się do nich na strzał, gdyż powiérzchnia pokryta była świéżo spadłym śniegiem, co ułatwiało bardzo chodzenie po lodzie. Wszedłem więc na jezioro, i lubo znacznie daleko od lądu, jednakże udało mi się zbliżyć aż na strzał. Wystrzeliłem — dwie kaczki pozostały na lodzie, reszta się wzbiła w górę i uciekła. Pobiegłem po nie; jednę zabiłem na miejscu, ale druga była tylko postrzeloną, dla tego zaczęła uciekać. Gdym ubiegł za nią może ze dwieście kroków, spostrzegłem ze zadziwieniem, że lód tu i owdzie był już prawie na trzy cale wysoko zalany wodą. Naturalnie, zaprzestałem gonienia, gdyż domy-

śliłem się, że nastała odwilż, a wiedziałem, że w tych właśnie stronach Ameryki zmiana temperatury częstokroć następuje nagle i lody czasem w bardzo krótkim czasie rozsypują się na mnóztwo kry.

Niebo przed chwilą czyste, zaciągnęło się chmurami, deszcz gęsty ale drobny, pomięszany z płatkami lodu, chlusnął nagle, i w czasie nie do uwierzenia krótkim tak się zrobiło ciemno, że już nie mógłem dojrzéć wybrzeża. Przerażony, stanąłem w osłupieniu, wytężyłem wszystkie zmysły, aby dojrzéć brzegu jeziora, ale napróżno, ciemność z każdą chwilą stawała się gęstszą. Cisza, gdyż wiatru jeszcze nie było — tylko ptak ranny, jakby sam przerażony, wydawał co chwilę okrzyk zgrozy.

Zdawało się, że się na jakąś katastrofę zanosi — czułem to, sam nie wiém już jak. Obawiałem się ruszyć, stałem jak skamieniały, gdy wtém naraz usłyszałem jakiś dziwny szelest, zbliżający się zwolna do mnie. Gdzieś w oddali dały się nagle słyszéć niby grzmoty, a potém trzask i łomot, jakby się skały nadbrzeżne rozsypywały w drobne kawałki. Naraz ze zgrozą uczułem, że lód chwieje się pod memi nogami! W kilka chwil późniéj rozerwał się lód z grzmotem tuż obok mnie, a woda z szumem trysnęła szczeliną i zalała powiérzchnią naokoło.

Nie było ani chwili do stracenia. Czémprędzéj zacząłem biédz w stronę, w któréj spodziewałem się dójść do brzegu. Naraz trafiłem na odparzelisko. Obszedszy je naokoło, zgubiłem kierunek. Stanąłem znowu, zaczekałem chwilę, aby spokojnie nad mém groźném położeniem pomyśléć. Ale w którą stronę się udać? Jeśli zmylę kierunek i pójdę daléj na środek jeziora? Jedyną skazówką był mi szum lasu — w téj stronie najbliżéj wybrzeże. Zacząłem tedy biédz pod wiatr, który się z każdą chwilą wzmagał, wystrzeliłem kilka razy, aby mnie kto ze stacyji mógł dosłyszéć i przybiédz mi na ratunek; ale wszystko daremnie.

Wiatr się wzmaga, ciemność coraz większa, a ustawiczny grzmot, łoskot i trzask wskazywały, że lody się kruszą i pękają. Uczułem zawrót w głowie, oddech zatamował się w piersi; nie wiém, czy z obawy, czy w obłąkaniu rzuciłem flintę i tak pchałem się ustawicznie naprzeciw wichrom.

Nie wiém dla czego nie mógłem dójść do brzegu. Już upłynęło kilka godzin, siły mnie zaczęły opuszczać, zmysły od wycia wichru i grzmotu pękających lodów zaczęły się mięszać, tak że gdy noc nadeszła i ciemność zupełna zaległa, zapomniałem o niebezpieczeństwie, a raczéj stawszy się nieczułym na wszystko, stanąłem, owinąłem się w płaszcz i położyłem się na chwiejącym się lodzie, nie troszcząc się o to co się może stać ze mną za chwilę. Wiedziałem o tém dobrze, że woda pracuje nad zniszczeniem swéj lodowéj okowy, wiedziałem, że zguba moja nieuchronna, pomimo tego jednak, a może właśnie dla tego, byłem teraz na wszystko nieczułym.

Usnąć jednakże nie mógłem; ryk wód lejących się szczelinami, szum bałwanów na miejscach próżnych, grzmot pękających lodów i trzask uderzeń kry jednę o drugą i świst wichrów była to muzyka, która nie zdoła zmysły człowieka do snu ukoić. Około północy uczułem, że lud ze mną się porusza i płynę niby w łodzi. Zerwałem się na równe nogi, spojrzałem na około: — w oczach zrobiło mi się ciemno, szum w uszach przegłuszył walkę żywiołów, a jakieś nieznane larwy zaczęły przedemną tańczyć! Rzeczywiście widok, jaki się memu oku przedstawił, mógłby i najodważniejszemu odebrać zmysły, chociażby na moment. Stałem bowiem na krze, a w około mnie sine bałwany z szumem się przewalały i wśród ciemności nocnéj złowieszczo świéciły białą pianą pokrytemi grzbietami. W koło mnie płynęła niesłychana ilość kawałów lodu, które uderzając siebie, albo się rozbijały, albo wznosiły się

niby ściana, a potém z hukiem opadły we wodę, albo się téż jedne na drugie wbijały.

Kra, na któréj stałem, była dość wielka, a przez to, że na nię zaczęły się wbijać mniejsze, coraz więcéj nabiérała grubości. Wreszcie utworzyło się w środku jéj wzniesienie na pięć do sześciu stóp wysokie, na którém trzymałem się jak mógłem, a oczami szukałem po wszystkich stronach, czy mi nie zabłyśnie promyk nadzieji ocalenia. — W koło mnie wzburzone sine bałwany, ryk i szum, grzmot i trzask ustawiczny. Wicher silny pędził mnie z wodami, ale dokąd, nie wiedziałem. Domyślałem się jednak, że muszę zbliżać się ku lądowi, gdyż chociaż jezioro było na cztéry geograficzne mile szérokie, jednakże już od północy kra była w biegu, a zmiany kierunku wiatru nie było. Ku mojéj nieopisanéj radości w zmiérzchu porannym spostrzegłem, że kra pędzi prosto w rzékę wypływającą z jeziora w owo większe jezioro, o którém na wstępie powiadałem. Ile mógłem zdala rozpoznać, jeszcze oba wybrzeża rzéki były okryte lodem, tak że kra musiała się raz do nich zbliżyć, i tak miałem przed sobą pewną nadzieję ocalenia. Istotnie, kra dostała się w strumień, wir rzucił ją na lody, a ja szybko skoczyłem na lód rzéczny i ledwo stopami dotykając, śpiesznie biegłem ku brzegu, dokąd téż się szczęśliwie dostałem.

Jak tylko okiem mógłem zasięgnąć, niczego nie widziałem, jak lasy. Z obawy, aby się w lasach nie zbłąkać i tak uszedszy śmierci w nurtach, nie popaść w szpony śmierci głodnéj, zacząłem iść po nad rzéką z biegiem jéj wody. Po półgodzinnym marszu spostrzegłem nagle po nad drzewami lasu słup wzbijającego się dymu. Natychmiast zwróciłem się w tę stronę i niezadługo ujrzałem gromadkę Indyjan siedzących przy ogniu. Nie zważając na ponure i podejrzliwe ich poruszenia, usiadłem pomiędzy nimi i zacząłem do nich mówić wszystkimi znanemi mi indyjskiemi dyalektami. Wreszcie na szczęście trafiłem na jeden, który zrozu-

mieli, i tak opowiedziałem im swoję przygodę, ale mi tego wierzyć nie chcieli. Byłem bardzo głodny, więc prosiłem ich o posiłek. Po krótkiéj naradzie udzielili mi nareszcie kawałek suszonego mięsa, ale to z wyraźnym wstrętem. Zwykle Indyjanie są gościnni; branie się mych gospodarzy było mi więc tém więcéj pod oczy podpadającém.

Było ich pięciu mężczyzn, dwie kobiéty i dwoje dzieci. Wszystko siedziało w milczeniu. Jeden z mężczyzn wpatrywał się długo i pilnie w twarz moję, i to takim wzrokiem, że się naprawdę zacząłem niepokoić. Zdawało mi się, jakoby ów Indyjanin mnie poznawał, lubo nie mógłem sobie przypomnieć, abym go kiedy był widział.

Po godzinnym odpoczynku powstali Indyjanie i zabrali się do odejścia, nie przemówiwszy do mnie ani słowa. Wnosiłem z tego, że sobie nie życzą, abym im towarzyszył; dla tego zwróciłem się do jednego z nich, którego po odzieży uznałem za naczelnika, i prosiłem aby mnie wziął ze sobą, gdyż obawiam się, abym się nie zbłąkał w lesie. Zagadniony stanął, a utkwiwszy płomienny wzrok we mnie, rzekł szybko:

— Gdzie jest twoja flinta? gdzie nóż? gdzie tomahawk?*)

— Zgubiłem na lodzie! — odpowiedziałem pokornie.

— Strzeż się obrazić kłamstwem Wielkiego Ducha, — ciągnął daléj Indyjanin, — wiémy dobrze, po coś tu przybył. Tyś tu przybył w złych zamiarach, a zapewne towarzysze twoji są niedaleko w ukryciu! Idź sobie precz! My obawiamy się białych ludzi, bo gdzie się oni pokażą, tam w ślad za niemi idzie nieszczęście. Idź precz! pomiędzy nami nie ma nikogo, ktoby chciał się upoić waszą ognistą wodą **).

---

*) Tomahawk — topór, ulubiona broń amerykańskich Indyjan.

**) Gorzałką.

Idź precz, mówię, a nikt z naszych nie wyrządzi ci krzywdy!

Cóż miałem na to odpowiedzieć? Naturalnie, zaręczyłem, że com mówił było świętą prawdą. Naczelnik słuchał mnie cierpliwie, a w końcu mego opowiadania wystąpił ów Indyjanin, który mi się tak pilnie przypatrywał i rzekł:

— Ów obcy człowiek niech idzie z nami! Cień ojca mego nie przebaczyłby mi tego, gdybym białego opuścił. Usłuchajcie rady *Takaweri!**)

Pomimo że słowa te bardzo ludzko brzmiały, jednakże z oczu mówcy wyczytałem tyle nienawiści, że zacząłem się o me bezpieczeństwo obawiać. Naczelnik pomyślał chwilę, a potém dał mi ręką znak przyzwalający i cała gromada udała się natychmiast w pochód.

Lubo nie widziałem najmniejszego znaku jakiegoś śladu, jednakże naczelnik prowadził nas ze zupełną pewnością siebie przez najgęstsze zarośla. Czasem zwalniał kroku i przypatrywał się drzewom, ale potém znowu śmiało naprzód ruszał z pośpiechem. Nikt w marszu nie przemówił słowa, tylko trzask gałązek i szelest liści pod naszemi stopami przerywały tajemniczą ciszą puszczy. Przed głodną śmiercią byłem wprawdzie bezpiecznym, ale mimo tego nie mógłem się pozbyć obawy o swój los. Zdawało mi się niby, że idziemy w kierunku do naszéj stacyi, a jednak żadnego nie miałem znaku, że się do niéj zbliżamy; owszem, pod wieczór okolica stała się dzikszą i więcéj obcą. Oprócz miotającéj mną obawy zaczęło mnie trapić straszliwie osłabienie, tak że ledwo nogi powłóczyłem, a jednakże nie mógłem się odważyć pozostać, aby wypocząć, gdyż zgubiwszy Indyjan z oczu jużbym z puszczy nie wyszedł.

Po zachodzie słońca stanęli Indyjanie. Mężczyzni zajęli się budowaniem szałasu, a kobiéty rozpalały ogień. Podczas marszu w czasie popołudniowym ubito sarnę, dla

---

*) Imię Indyjanina.

tego teraz po zdjęciu skóry zaczęto piéc mięso, które rozdzielono pomiędzy obecnych; i mnie się dostało obficie. Nikt jednak do mnie ani słowa nie przemówił. Po najedzeniu się zapalili sobie lulki i rozciągnęli się w szałasie na skórach na ziemi, a ja usiadłem sobie na pniu obalonego drzewa i tak siedzący postanowiłem noc przepędzić, nie śpiąc, gdyż lubo znużenie z nóg mnie zbijało, jednakże jakaś tajemna obawa spać mi nie pozwalała.

Kiedy może tak z godzinę w mych myślach zatopiony siedziałem, ujrzałem naraz, że jeden z Indyjan ostróżnie wyszedł z szałasu i oglądając się bojaźliwie na wszystkie strony, zbliża się do mnie. Przestraszony zerwałem sią na równe nogi, ale Indyjanin dał mi ręką znak, abym się zachował spokojnie. Przystąpiwszy do mnie, ujął mnie za rękę i pociągnął za sobą do lasu, oglądając się ustawicznie. Gdy nikt za nami się nie pokazał, uspakajał się coraz więcéj, i zdawał się swobodniéj oddychać. Wreszcie, gdyśmy już może z ćwierć mili ubiegli, stanął na wzgórzu i rzekł do mnie:

— Mój biały brat uczynił dla *Utalissi* wiele dobrego; Utalissi jest wdzięcznym *).

— Dla czego mnie uprowadzasz od swych braci? — zapytałem zdziwiony postępkiem Indyjanina.

— Tu jeszcze nie jesteśmy bezpieczni, — odrzekł; — nim Utalissi opowié, musimy iść daléj.

Po tych słowach pochwycił mnie znowu za rękę i pociągnął daléj w las.

Momentalnie nie wiedziałem, czy mam Utalissi zaufać, czy nie; ale twarz jego miała tyle wyrazu szczérości, że bez wahania biegłem za nim, ile mi sił star-

---

*) Indyjanie amerykańscy, mówiąc o sobie, używają wyrażenia, jakby mówili o osobie nieobecnéj. Forma ta mówienia w trzeciéj osobie, gdy o ich własną chodzi osobę, wspólna jest wszystkim Indyjanom Ameryki.

czyło. Domyślałem się, że Indyjanie coś względem mnie niedobrego postanowili, przypomniałem sobie bowiem wyraz twarzy owego Indyjanina, który nosił imię Takaweri. Ale dla czego Utalissi uprowadza mnie z niebezpieczeństwa?

Po dwóch godzinach pochodu zatrzymał się Utalissi, wyciągnął się na ziemi i zawezwał mnie, abym tak samo uczynił. Kiedym go usłuchał, rzekł:

— Słuchaj teraz, o bracie biały, dla czego uciekłem z tobą. Takaweri byłby cię zabił, gdybyś był pozostał. Twierdzi on, że należysz do liczby tych, którzy mu przed kilku latami ojca zabili. Dla tego śmierć ojca chce on pomścić na wszystkich białych, którzy w jego dostaną się ręce. Namówił on naczelnika, aby obrał kierunek marszu, któryby się coraz daléj odwodził od stacyi; jutro miało być do wieczora tak samo, a wieczorem miała płynąć krew' twoja jako ofiara zemsty.

Można sobie wyobrazić, że przez niejaki czas ani słowa wymówić nie mogłem, a kiedym się opamiętał, zapytałem, dla czego Utalissi uratował mnie z tak oczywistego niebezpieczeństwa z narażeniem samego siebie.

— Tyś znajomym Utalissi, — odrzekł, — tyś mu życie ocalił; ztąd słusznie, aby Utalissi i ciebie ratował.

Zadziwiony, zacząłem się przypatrywać Indyjanowi, ale na żaden sposób nie mógłem sobie przypomnieć, abym tego człowieka już gdzie był widział. Utalissi zdaje się domyślił się tego, dla tego rzekł:

— Nie znalazłeś przed dwiema latami raz młodego Indyjanina, który pokaleczony leżał obok zabitego niedźwiedzia?

— W istocie, — odpowiedziałem, — ów młodzieniec zabił tego niedźwiedzia, ale poprzednio we walce z nim tyle odebrał ran, że zapewne byłaby go krew' upłynęła, gdybym ja z jednym przyjacielem nie był nadszedł.

— Owóż tym młodym Indyjaninem był Utalissi. Tyś go wziął na twe ramiona i zaniósł do twego domu, tam mu rany zawiązałeś i pielęgnowałeś go, lubo przyjaciel twój śmiał się z ciebie, że nad czerwonym Indyjaninem masz tyle litości. A teraz czerwony Indyjanin czuje się szczęśliwym, że ci może wdzięcznością odpłacić.

Wzruszony uścisnąłem rękę wybawcy.

— Utalissi — rzekłem — szlachetny człowiek z ciebie. Ale cóż powié na to Takaweri, gdy zobaczy, żeś mu ofiarę z rąk wydarł?

— Takaweri będzie się gniéwał — odrzekł — i będzie chciał Utalissi zabić. Ale Utalissi będzie ostróżnym, a nawet naczelnik i inni mężowie pokolenia wezmą go w obronę, gdy się dowiedzą, dla czego białego brata uratował... A teraz śpieszmy się w drogę, jeźli jeszcze dzisiaj mamy stanąć na stacyi.

Poszliśmy więc. Około godziny po zachodzie słońca znajdowałem się już pomiędzy przyjaciółmi, którzy mnie powitali, jakbym wracał z tamtego świata.

Utalissi zaraz na drugi dzień powrócił do swego pokolenia w lasy. Wszelkie podarunki, jakie mu ofiarowałem, odrzucił i przyjął tylko piękną dubeltówkę.

* * *

We dwa lata późniéj, krótko przed mym odjazdem do Europy, miałem jeszcze szczęście widziéć owego Indyjanina, któremu zawdzięczyłem ocalenie życia. Miał on wiele do czynienia z Takawerim, i pilnie musiał się miéć przed nim na baczności. Ale na szczęście uszedł wszelkich zasadzek i zaczepek. Po śmierci naczelnika, którego ongi widziałem w lesie, pokolenie obrało Utalissi jednomyślnie naczelnikiem.

Grzechotnik.

Ameryka, prócz innych zwiérząt człowiekowi zagrażających, pełna jest wężów jadowitych, z których najniebezpieczniejszym jest *grzechotnik*. Płaz ten dorasta kilkunastu stóp długości i ma grubość nogi ludzkiéj. Żywi się wiewiórkami, zającami, ptakami i innemi zwiérzątkami. Charakterystyką tego zwiérzęcia jest, że każde zwiérzątko, które chce pochwycić, naprzód swą grzechotką niby ostrzega. Tymczasem to ostrzeganie właśnie jest tylko sposobem tém łatwiejszego pochwycenia zdobyczy. Gad ten bowiem zdaje się wyziéwać ze siebie truciznę; każde zwiérzę, skoro grzechotnik na nie oczy swe zwróci, już nie ucieka, ale drży, trzęsie się, stoi nieruchome, a często nawet samo rzuca się w paszczę strasznemu płazowi.

Owa grzechotka, nadająca płazowi nazwisko, są to pęcherzyki na końcu ogona. Pono co rok nadrasta nowy pęchérz. Płaz poruszając się, uderza ogonem, co wydaje łoskot, jak kiedy dzieci w pęcherzynę suchą wieprzową nasypią grochu. Ztąd grzechotnik rzadko niespodzianie może kogo napaść, gdyż owém grzechotaniem zdradzi się z daleka.

Pewien podróżny europejski w Ameryce miał sposobność przekonania się o jadowitości wzroku grzechotnika. Zobaczył on na polowaniu takiego węża i zaczął mu się z ciekawością przypatrywać. Nagle zdjął go strach nieopisany; chciał uciekać, ale zdawało mu się, że jest przykutym do ziemi. Zawrót jakiś i szał go porwał, i już, już miał paść na grzechotnika, gdy się jeszcze opamiętał, wydobył chustkę z kieszeni i począł nią wiéwać pomiędzy sobą a wężem. Tym sposobem oddalił od siebie ów jadowity wyziéw, poczém go zawrót opuścił, i zdołał uciéc.

Ze wszystkich zwiérząt na świecie największym nieprzyjacielem grzechotnika jest *świnia*. I grzechotnik wié o tém, gdyż skoro ją zobaczy, traci wszelką

odwagę i czém prędzéj ucieka. Świnie zaś bardzo za niemi gonią, a nawet już ich z daleka wietrzą, a wtedy szczeć najeżą, zbliżają się zwolna, ostrożnie, i nareszcie chwytają węża. Skoro go w pysk dostaną, zaczynają nim trząść najprzód, a potém pożérają; łba jednak nie naruszają.

Zresztą są to zwierzęta, z którymi człowiek zawsze może stanąć do walki, gdyż nie siła, nie ich zwinność lub inne przymioty, ale jedynie trucizna czyni ich dla człowieka niebezpiecznemi. Trucizna ta jest jistotnie zawsze zabijająca, a przynajmniéj pozostawiająca na zawsze po sobie skutki.

Niejaki Max Connel trudnił się długi czas chwytaniem grzechotników. Miészkał on w Kanadzie nad wodospadem Niagara. Zabił on pono więcéj aniżeli 3000 wężów. Zwykle stawał na stanowisku po za skałami, pod którymi lubią się chować, najchętniéj jednak stawał za drzewem. Całém jego narzędziem, bronią, był krótki kijek. Grzechotniki lubią wygrzéwać się na słońcu, dla tego wychodzą z ukrycia, ale z obawy przed świniami nie odchodzą daleko. Skoro Max Connel zobaczył węża, wyskakiwał sam z ukrycia, rzucał kijkiem prosto na łeb zwiérzęcia i zabijał je. Jeźli chybił, natenczas grzechotnik umykał co żywo do swéj dziury, ale Connel tuż za nim będący, chwytał go za ogon i wyciągał. Jeźli go grzechonik ugryzł, natychmiast przykładał na ranę *wężownik*, gatunek rośliny, którą ustawicznie żuł w ustach. Zabite węże powieszał on na gałęziach, odziérał i smażył na wolnym ogniu, a tłuszcz zbiérał we flaszeczki. Za każdą taką flaszeczkę wężowego tłuszczu dostawał 18 talarów. Uważano dawniéj ów tłuszcz jako wyborny środek przeciw romatyzmowi. Naturalnie skuteczność tłuszczu istniała jedynie we wyobraźni.

Owa roślina: wężownik, ma rzeczywiście być skuteczną przeciw ukąszeniu grzechotnika. Czy i ile w tém prawdy, to rzecz lékarska, tu zaś opowiém tylko przy-

godę, którą *Violet*, syn francuzkiego emigranta z czasów Karóla X, opisał w swych wspomnieniach z podróży. Znajdował on się długi czas pomiędzy Indyanami z pokolenia Szoszonos, pomiędzy którymi nawet wzrósł i wychował się. Europejskie jego wykształcenie czyniło go wyższym nad Indyan, którzy uznali to sami, gdyż go obrali swym naczelnikiem, lubo miał ledwie ośmnaście lat.

Ów tedy naczelnik Szoszonosów opowiada przygodę, ważną dla tego samego, że dokładnie maluje stan duszy takiego, który doznał ukąszenia grzechotnika.

Posłuchajmy, co mówi Violet.

— Wszedłem pewnego razu na drzewo, aby wybrać młode ptaszęta, których chciałem użyć jako ponętę na ryby. Schowałem ptaszki do kieszeni i zacząłem upatrywać miejsca, gdziebym mógł wygodnie zeskoczyć. Po wielu wykręcaniach się uwiesiłem się jedną ręką u gałęzi i tak spuściłem się na ziemię. Lewą nogą stanąłem też na ziemi, ale pod miękką podeszwą mokasynu*) uczułem, że się coś żywego podnosi i rusza. Jedno spojrzenie pouczyło mnie, że noga moja spoczywa na jadowitym grzechotniku, którego głowa właśnie wyziérała z pod pięty.

W przerażeniu stanąłem osłupiały. Płaz tymczasem wydobył się z pod stopy, obwinął mą nogę splotami i i w jednéj sekundzie ukąsił mnie dwa lub trzy razy. Kolący ból, który mi zęby grzechotnika wbite w ciało sprawiły, przyprowadził mnie do przytomności; widziałem, że jestem zgubionym, postanowiłem jednak, że i mój nieprzyjaciel ze mną umiérać musi. Dobyłem noża i pociąłem gad na sto sztuków, a potém poszedłem do ogniska, gdzie się położyłem.

Słońce właśnie zachodziło. Ostatnie jego promienia zaszły i czerwieniały niebo, a zarazem i mnie przypomniały, że moje słońce zagaśnie niezadługo. Zalałem się gorącemi łzami, gdyż byłem tedy jeszcze mło-

---

*) Trzewika

dy, licząc ledwie lat 19, i nie mógłem miéć odwagi umrzéć spokojnie tak straszną śmiercią. Leżałem prawie martwy. Dopiéro koń mój, który się zbliżył i uszy moje lizać począł, wyrwał mnie z odrętwienia. Spojrzałem na około siebie i zobaczyłem tuż przy sobie kilka łodyg *wężownika*. Często już dawniéj słyszałem o skuteczności téj rośliny w podobnych razach, ale temu wiary dać nie chiałem.

Tonący chwyta się brzytwy! Z wielkiém natężeniem zdołałem się podniéść do góry, wstałem i przyniósłem nóż, który przy wężu pokrajanym porzuciłem. Wróciwszy, zacząłem rozpaczliwie kopać i wykopałem kilka korzeni.

Nim jeszcze nieszczęście spotkało mnie z wężem, przystawiłem już był naczynie z wodą do ognia, aby naparzyć herbaty. Teraz naczynie to posłużyło do sporządzenia lekarstwa. Korzenie pokrajałem w drobne plasterki i wrzuciłem na wrzącą wodę. Niedługo potém powstał z tego ciemnobrudny odwar, który wypiłem. Smakował on, jak ług z terpentyną. Następnie rozciąłem obuwie, gdyż noga napuchła straszliwie; wymyłem rany odwarem, a pożutemi korzeniami je obłożywszy, obandażowałem nogę w pasy pokrajaném odzieniem. Następnie przystawiłem znowu wody, sporządziłem powtórnie odwar, który w pół godziny potém jeszcze raz wypiłem, a następnie owinąwszy się w kołdrę, ległem przy ognisku. Teraz opanował me zmysły straszliwy zawrót; poty wystąpiły mocne, zmysły się pomięszały — i wpadłem w omdlenie.

Jak długo tak leżałem, nie umiém powiedziéć. Kiedym się obudził, koń mój stał przy mnie i lizał twarz moję. Głowa bolała mnie do niewytrzymania. Trwało dosyć długo, nim mógłem zebrać myśli i przypomniéć sobie, gdzie się właściwie znajduję. Wreszcie pamięć się rozjaśniła i wszystko co się ze mną działo przyszło mi na myśl. Pragnienie mnie paliło. Kiedym spojrzał na nogę, widziałem, że rany były za-

gojone, a puchlina znikła. Miałem tyle siły, że mógłem wstać i pójść do poblizkiego źródła, aby zagasić pragnienie. Osiodłałem konia, wsiadłem i pojechałem do swoich przyjaciół. Nim jednakże przybyłem do nich, opuściły mnie zmysły powtórnie, spadłem z konia i dopiéro późniéj znaleziono mnie leżącego na ziemi.

We dwa tygodnie dopiéro późniéj obudziłem się jako istota wynędzniała, słaba. Przez ten cały czas maligna mnie nie opuściła; niebezpieczne zapalenie mózgu pozbawiło mnie przytomności, a anioł śmierci stał ustawicznie przy mojém łożu.

Jednakże pielęgnowanie przyjacielskie, moja młodość i zdrowy klimat pozwoliły mi odzyskać zdrowie, ale długo, bardzo długo trwało, nim doszedłem do sił piérwotnych.

Eskimosy.

Pomiędzy wszystkimi narodami półkuli północnéj krążą podania o istotach maluczkich, które w polskim języku zowiémy *kraśnoludkami* albo *kraśnorodkami*. Są to pół ludzie, pół istoty nadziemskie, spotaci małéj, drobnéj, żyjące gdzieś w podziemiu. Zkąd to podanie powstało, tego trudno dociéc. Tu tylko powiadamy, że istnieją rzeczywiście ludzie mali, nizcy, pomiędzy którymi chłop najroślejszy równa się dwunastoletniemu chłopakowi stron naszych. Są to Eskimosy, miészkańcy północych krańców kuli ziemskiéj.

Jeśli się rozpatrzymy pomiędzy ludźmi całego świata, zauważymy, że tylko strefa umiarkowana wydaje ludzi silnych tak co do ciała, jak i co do ducha. W strefie gorącéj ludzie są wprawdzie co do ciała wykształceni silnie, ale skutkiem gorąca nędzni umysłowo. Namiętności, których mają aż nadto, płoną i wrą pod ociężałą i leniwą powłoką cielesną.

Gdy znowu zapuszczamy się coraz daléj na północ, to zauważymy, że ród ludzki jak i w ogóle wszelkie życie coraz więcéj karłowacieje, a w końcu zupełnie niknie. I tak już np. w Grenlandyji natrafiamy wprawdzie na brzozę, ale ta brzoza już nie dochodzi wielkości naszego wrzosu! Człowiek tam w tych stronach rozróść się i zmężnieć nie może, tylko pozostaje małą, nędzną istotą.

Takimi są Eskimosy, miészkańcy krain zimnych, okolic wiecznym śniegiem i wiecznemi lodami pokrytych.

Co się tyczy pochodzenia Eskimosów, to nie ma wątpliwości, że należą do rasy mongolskiéj, jak Lapończycy. W każdym razie nie mają najmniejszego podobieństwa do któregokolwiek szczepu miészkańców piérwotnych Ameryki. Wzrostu są nizkiego, twarz mają okrągłą, czasem z wystającemi kośćmi policzkowemi, oczy osadzone w dołach, zasłonięte tak powiekami, że tylko małe, cokolwiek ukośne widać przecięcie. Skóra ich jest biała, ale skutkiem niechlujstwa wygląda ciemno. Woń z ich ciała bijąca jest dla Europejczyka bardzo nieznośną. Inaczéj téż być nie może, o czém się zaraz dowiémy. Miészkania Eskimosów są to budy ze śniegu. Latem miészkają oni w namiotach, a zimą w owych budach. Jeżeli okaże się potrzeba budowania chaty, natenczas z brył lodowych ustawia Eskimos ściany, a jeśli nie ma lodu, to ze samego śniegu. Trzeba jednakże wiedziéć, że na północy śnieg tak twardnieje, iż daje się ciosać, niby płyta kamienna, a biada temu, ktoby chciał śniegu takiego wziąść w usta celem ugaszenia pragnienia, albowiem taki sam skutek on wywiéra, jak żelazo przy strasznym mrozie przytknięte do języka. Na ściany kładzie znowu płyty śniegowe, albo téż całą budę zupełnie zaokrągli, że jest podobną do pieca chlebowego. Że tam nie ma drzewa, i nie ma z czego zrobić drzwi, dla tego wchód przedłuża na kilkanaście kroków, i to w liniji krzywéj, aby wiatr nie mógł wprost do owéj

budy wewiéwać śniegu. Wnętrze budy natenczas wykładają skórami psów morskich, które téż i na podłodze rozpościérają. Na środku dachu wybijają dziurę, którą zasłaniają trzewami psów morskich: otwór ten służy do przepuszczania światła. Na środku zaś owéj budy, czyli *jurty*, wisi kociełek, w którym ustawicznie pali się lampa tranowa, służąca za światło, za komin do gotowania i za piec do ogrzéwania.

W takiéj jamie żyje czasem i kilka rodzin. Niczego oni nie czynią, aby swąd wypuścić powstały z palenia się tranu i gotowania pokarmów. Co więcéj — jeśli ubiją zwiérza, jako np. psa morskiego, natenczas rozebrane zwiérzę leży w jurcie nie przykryte, dopóki go nie zjedzą, a tymczasem już cuchnie aż do obrzydzenia. Nawet trzewów i nieczystości zwiérzęcych nie wyrzucają, ale pozwalają wszystkiemu gnić w jurcie, — i swobodnie żyją i oddychają takiém cholerycznem powietrzem. Europejczyk tam nie wytrzyma.

Eskimosy żyją tylko tém, co im morze daje. Że tam nie ma gruntów, które mogliby uprawiać, dla tego żyć mogą tylko z tego, co upolują na otwartém morzu albo na lodach. Są to zaś psy morskie, morsy*) i czasami wieloryby. Ztąd téż łódź jest dla nich największym skarbem. Łódź taka jest na 14 stóp długa, $1\frac{1}{2}$ széroka, a na 12 cali głęboka. Szkielet jéj jest zbity i zespojony z kości wielorybich, a rzadko z drzewa, gdyż tam lasów nie ma, a Eskimosy znają tylko drzewo takie, które im bałwany morskie sprowadziły. Wyobrażenia o kwitnącém, zielonem drzewie ludzie ci nie mają. Zbudowany na ten sposób szkielet powłóczą skórą morsów, która ma tę własność, że nie przepuszcza wody. W środku łodzi jest otwór, tak urządzony, że Eskimos siadszy w łódkę, spuszcza nogi i ciało swe aż do połowy we wodę, a zbywającą skórę przy otworze obwięzuje w koło swego pasa. Tak więc, że

*) Mors = koń morski (Wallross).

woda morska na północy cieplejszą jest od powietrza, nie czuje tak dotkliwie zimna. Odzież zresztą Eskimosa jest to jedyna jedna opończa ze skóry psów morskich, nieprzepuszczająca wody. Tę opończę ściąga Eskimos sznurem pod szyją, a na głowę zawdziéwa szłyk także ze skóry, przyszyty do opończy. Łódka owa nazywa się u nich *Kajak*.

Łódka taka waży zaledwie 20—30 funtów, dla tego nie tylko że Eskimos wygodnie przenosić ją może z miejsca na miejsce, ale téż bardzo wygodnie nią kieruje na morzu. Gdyby się Kajak ów przewrócił, to nic nie znaczy, gdyż jedném stucznem poruszeniem wiosła Eskimos już przyprowadził go do równowagi. Ale biada Eskimosowi, jeśli wypuścił wiosło z ręki — zguba jego nieuchronna.

Nazwisko Eskimos wzięte jest z francuzkiego Esquimeau, a ma ono pochodzić od wyrazu indyjskiego, eszkimai, lub eskimantik, to znaczy: ludzie jedzący surowe mięso. W saméj rzeczy gotowanie jest u nich rzeczą podrzędną. Jedzą bowiem surowe, ciepłe jeszcze mięso zwiérzęcia, z którego wątroba jest dla nich największym przysmaczkiem. Żarłoczność ich jest niedouwierzenia. Na jeden obiad zjada Eskimos 4—6 funtów mięsa i wypija do tego kilka kufli, raczéj misek tranu. Jak u nas bowiem raczą się miodem, winem, piwem, lub wódką, tak Eskimosy raczą się tranem. Tran téż odgrywa u nich bardzo ważną rolę, i bez tranu wyżyć by nie mogli w tak zimnych okolicach. Simpson opowiada, że w Jakucku zjedli w obec niego dwaj mistrze tacy w jedzedzeniu 80 funtów wołowiny i wypili 40 funtów roztopionego masła we dwie godziny, za jednym przysiadem. Nie wolno przeczyć — ale trudna temu wierzyć.

Faktem jednak, że żarłoczność ich jest niesłychana. Eskimos je nie na to, aby się najadł, ale na to, aby w sobie każde próżne miejsce zapchał. Jeżeli uda mu się wiele mieć mięsa, i gdy wszystkiego naraz zjeść nie może, to rzuca się Eskimos z kawałem mięsa na łoże i tak długo

pcha w siebie, dopóki nie uśnie. Skoro się zaś obudzi, dojada niezjedzone reszty. Gryźć jest u nich rzeczą uciążliwą, a z powodu chorób szkorbutowych trudną. Zwykle natkają w gębę tyle, ile się zmieści, a potém nożem, jeśli go mają, urzynają przy ustach.

Siła trawienia jest u nich zadziwiająca, ale za to trawienie zmusza ich do pracy, któréj niestety nie lubią. Zwykle wychodzą na polowanie, kiedy już nic a nic nie mają pożywienia. Całą ich bronią jest pałka i harpuna. Z temi ruszają gromadnie, albo pojedyńczo, na psy morskie, wychodzące z morza na lodowce.

Jedyném zwiérzęciem domowém u Eskimosów są psy, podobne do naszych wilków. Psy owe nie umieją szczekać, tylko wyją. Tylko we wielkiéj biédzie, kiedy już śmierć głodna im grozi, natenczas wreszcie skłoni się Eskimos do zabicia psa. Według ilości psów oblicza się majątek. Zdarzyło się, że kobiéty Eskimosów szczenięta własnemi piersiami karmiły, jeśli matka psia zaginęła. Szczenięta téż wychowują się porówno z dziećmi Eskimosów.

Przypatrzmy się polowaniu Eskimosów na niedźwiedzia białego.

Jeden z Eskimosów spostrzega ślad niedźwiedzia, a obejrzawszy go uważnie, wskazuje, w którą zwiérz poszedł stronę i odgaduje nawet wiek jego. Eskimosy, mają ze sobą sanie, sporządzone z kości wielorybich, i zaprzężone kilkoma parami psów. W lot tedy odpinają od każdych sań po parze, które na krzyk łowców *nannook! nannook!* wietrząc za śladem, gonią we wskazanym kierunku. Niedźwiédź zwietrzył niebezpieczeństwo, dla tego zmyka, aby się ukryć pomiędzy zniesionemi u wybrzeża bryłami lodu. Eskimosy odpinają resztę psów i cała zgraja rzuca się na niedźwiedzia z piekielném wyciem, zamykając mu odwrót. Niedźwiédź obsaczony wspina się na tylne łapy i oczekuje nieprzyjaciela. Dwóch łowców zbliża się do niego z oszczepami, na-

ciérają jeden z prawéj, drugi z lewéj strony. Piérwszy robi taki ruch, jakby mu chciał wbić oszczep w prawy bok; niedźwiédź zwraca się z wyciągniętemi łapami ku napastnikowi, a w téj chwili otrzymuje śmiertelny cios w lewy bok od drugiego łowca.

Polowanie na białego niedźwiedzia we dwójkę uważają Eskimosy za rzecz tak bezpieczną, że zawsze są pewni zdobyczy. Ale nawet wprawny łowiec i w pojedynkę przyjmuje walkę z niedźwiedziem, — i zawsze prawie wychodzi z niéj zwycięzko.

Inaczéj cokolwiek wygląda polowanie na morsy. Zwiérzęta owe muszą koniecznie dla oddechu wyjść na ląd, dla tego Eskimosy starają się o to, aby wynaléźć miejsce, gdzie one sobie legowisko obrały. Gdy ich bystre ucho pochwyci szelest, oznajmiający im o znajdującéj się w pobliżu trzodzie, natenczas pozostawiają sanie z psami, a sami udają się pieszo, i cicho, ostróżnie zbliżają się, nadsłuchując co kilkanaście kroków. Wreszcie po za wałem spiętrzonéj kry spostrzegają kilka owych potworów, jak nurkują, to znowu wynurzają nad wodą straszne łby, uzbrojone dwoma wielkiemi kłami, przebijając z trzaskiem młody lód, ścinający kanał. Dwa potężne samce przewodniczą całéj trzodzie.

Jednego z nich wziął na oko naczelnik wyprawy, najdoświadczeńszy tępiciel morsów, i chyłkiem, z harpuną w ręku, posuwa się ku niemu. Skrada się cichaczem, zatrzymując oddech w piersiach, jak lis do cyranki; skacze zwinnie jak kot z kry na krę, wymijając instynktowo płonki cienkim zasklepione lodem, któryby się załamał pod jego stopą. Zaledwie mors wynurzy się, już Eskimos leży jak długi na lodzie i czołga się na brzuchu jak wąż; zaledwie mors hulknie pod wodę, zrywa się znowu na nogi i jednym skokiem zbliża się o kilka kroków bliżéj do niego.

W téj trudnéj i niebezpiecznéj sztuce jest mu mistrzem i wzorem biały niedźwiédź, który w ten sam

sposób podchodzi swoję zdobycz. Dotarł już teraz tak blizko, że może być pewnym siły i celności rzutu. Wypręża się, pochyla w tył, podnosi prawą rękę z harpuną do góry, a lewą trzyma silnie koniec długiéj liny ze skóry foki, i z iskrzącém okiem oczekuje pojawienia się morsa. Po kilku sekundach wynurza się mors do połowy ciężkiego tułowia, i parskając otrząsa ze siebie strumienie ściekającéj wody; spostrzega wroga, ale nim zdołał skryć się pod wodę, świsnęła harpuna i ugrzęzła mu głęboko pod lewą pletwą. Zraniony zwiérz ciska się konwulsyjnie po lodzie, który z trzaskiem łamie się pod jego cielskiem, i wydając przeraźliwy ryk, toczy czerwoną pianę z pyska, a w końcu wysilony upływem krwi, pada bez życia. Z dzikim okrzykiem *awuk, awuk!* tłumionym od godziny w natężoném oczekiwaniu, rzucają się Eskimosy na zdobycz, aby ją rozćwiartować.

Charakter Eskimosów jest łagodny. Nie znają oni zemsty, nie znają wojny. Nie ma téż u nich żadnego urządzenia państwowego. Ojciec jest głową rodziny, a reszta jego poddani, którzy atoli nie są jeszcze niewolnikami, ale towarzyszami i współpracownikami. Zatrudnienia około domu są wyłączną pracą kobiét, gdy tymczasem mężczyzni zajmują się li tylko dostarczaniem żywności, co jest, prawdę powiedziawszy, najgłówniejszą pracą u Eskimosów. Kobiéty noszą dzieci swoje na plecach w rodzaju torby, którą sporządzają ze skóry. W ubiorze nie ma różnicy pomiędzy kobiétą a mężczyzną.

Co się tyczy ich religiji, nie można wiele o tém powiedziéć. Wprawdzie uznają dwa bozkie piérwiastki: *złe* i *dobre* pod nazwizkiem *ukkowma* i *wittike;* zresztą mało mają pojęcia o religiji. Początek świata wystawiają oni sobie tak: Ziemia była piérwotnie całkiem pokryta wodą, a kiedy woda opadła, wtedy na ziemi powstał człowiek, imieniem *agluktuk.* Ów pierwszy człowiek stworzył zwiérzęta i ryby, a to na ten sposób, że zrąbał drzewo sięgające aż po za morze — z wiorów

padających w morze powstały ryby, a z wiorów padających na ląd powstały zwiérzęta ziemskie.

Mają oni także raj, ale ten raj znajduje się pod morzem. Kto żył na ziemi dobrze, ten po śmierci dostaje się do morza pełnego ryb i morsów, i tam będzie pędził nowy żywot bez trosk i kłopotów; będzie miał pod dostatkiem surowego mięsa i tranu; natomiast bezbożnicy dostaną się w bardzo zimne, wzburzone morze, gdzie żadnego z powyższych przysmaczków nie będzie, a najprostsze pokarmy ledwie z wielką biédą znaleźć można.

Wierzą także, że duchy umarłych, lubo miészkaniem ich raj podmorski, jednakże częstokroć, i to według woli, mogą wychodzić na ląd na polowanie.

Umarłych składają na skale albo na śniegu i przykrywają bądźto śniegiem, bądźto lodem. Naturalnie, że niedźwiedzie białe bardzo pilnie śledzą za takiemi miejscami, gdzie ich smaczna a łatwa oczekuje zdobycz.

U Eskimosów panuje wielożeństwo. Lubo mąż jest wszechwładnym panem swych żon, jednakże żona ma prawo odéjść męża i udać się do domu swych rodziców, jeźli czuje się pokrzywdzoną. Natenczas zachody następują celem wzajemnego pojednania; jeźli zgoda nastąpi, żona wraca do męża, jeźli nie ma zgody, żona może pójść za innego.

Ludzie, którzy żyją o wiele, wiele nędzniéj od naszych bydląt stajennych, — którzy według naszych pojęć nie żyją ani odrobiny po ludzku, — czują się jednakże w sferach w jakich żyją, szczęśliwymi, i za nic w świecie nie mijaliby się z nikim. Już robiono próby, że sprowadzano Eskimosów do miast, tu ich cywilizowano i czyniono ludźmi wykształconymi. Ale cóż się stało? Ci, co czuli się dość silnymi, uciekli na lodowce pić tran i jeść surowe mięso, a ci, co pozostali, pomarli nędznie z tęsknoty. Takato silna miłość ojczyzny płonie w sercach miészkańców owéj lodowéj strefy. Co za wspaniały przykład dla całego świata!

Że według ich zapatrywań się na życie niczego im do szczęścia nie braknie, przeto bardzo często widzieć można u nich zabawy, niejako bale i pikniki. Zwykle bal następuje kiedy uda im się zabić wieloryba. Zwyczaj, może religijny, wymaga, ażeby wszyscy biorący udział w balu pościli przez 24 godzin. Powiadają, że ten któryby był na balu, a nie pościł 24 godzin poprzednio, niewątpliwie popadłby w ciężką chorobę, a może nawet by umarł; w każdym razie spotkałoby go nieszczęście. Taki bal odbywa się na ten sposób, że tak mężczyzni jak i niewiasty *grają w piłkę ze śniegu*, kiedy się zmęczą porządnie, następują tańce. Dzieje się to znowu tak, że ustawiają się w rzędy, — jeden mężczyzn, drugi niewiast — i stają naprzeciw siebie. Skoro muzyka zagra, natenczas wykrzywiają się i robią grymasy, jakie tylko fantazya ludzka wymyślić może, ale ani na krok nie ruszą się z miejsca. Muzyka zaś polega na tém, że tanecznicy *wciągając* oddech w siebie, wydobywają przytém głosy podobne do chrapania konającego człowieka, a przejmujące zgrozą każdego cudzoziemca. Tymczasem w ich uszach brzmi to niby najpiękniejszy koncert.

My się temu dziwujemy, a może niejeden uśmiechnie się na takie tańce i taką muzykę, ale proszę pamiętać, że Eskimosy tak samo wzdrygają ramionami i uśmiechają się pogardliwie na widok tańczących majtków na okrętach, mówiąc, że ci ludzie nie mają spełna rozumu!

Co kraj, to obyczaj!

Koniec Części piérwszéj.

Instytut Geografii i Przestrz. Zagoop. PAN Biblioteka

SPIS RZECZY.

	Strona.
Zorza północna	1
Walka z białemi niedźwiedziami	5
Islandya i Gajzer	8
Wżuga rosyjska	14
Zawieja na nizinach podolskich	21
Wybuch Wezuwiusza	25
Kara śmierci w Turcyi	31
Wycieczka na Czarnohorę	40
Kawiarnia muzułmańska	55
Handel Murzynami	60
Epizod z życia osadnika na Kaplandzie	68
Palenie wdów w Indyjach	76
Kuglarz japoński	78
Japonija i Japończycy	81
Połów na wieloryby	87
Przygoda w Labrador	98
Grzechotnik	108
Eskimosy	112

~~367~~ M 20 4802
14.40
m/6610

126.13